

O czym marzyłeś, druhu młody,
Depcząc stopami granie Tatr?
Jakie marzenia i przygody
Wyśpiewał Ci tatrzański wiatr?



Jak piliś radość kroplą rosy,
Jak ogarniałeś sercem świat?
I jak na przyszłe swoje losy
Rzucałeś czynu trwały ślad?

Gdzie jesteście, gdzie jesteście
Rudy, Alku, Zośko?
Gdzie jesteście, gdzie jesteście?
Gdzie Twe dzieci Polsko?

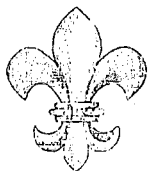
O czym myślałeś druhu młody,
Gdy z nagła pękł twój marzeń świat?
Jakie tęsknoty w chwili trwogi
Rozwiał okrutny dziejów wiatr?

Gdzie jesteście, gdzie jesteście
Rudy, Alku, Zośko?
Gdzie jesteście, gdzie jesteście?
Na Twych szanłcach Polsko!

O czym dziś myślisz, druhu młody,
Stojąc, gdzie krzyży białych ślad?
O czym dziś myślisz i co chciałbyś
Zachować w sercu z tamtych lat?

Jak to się dzieje, że pamiętasz,
Jak to się stało, że ich znasz?
A może Tobie o nich śpiewa
Odwieczną pieśnią echo Tatr?

Gdzie jesteście, gdzie jesteście
Rudy, Alku, Zośko?
Gdzie jesteście, gdzie jesteście?
Zawsze z Tobą, Polsko!



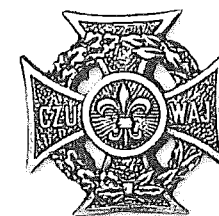
wiersz „Pytania”
ofiarowany przez Harcerzy Podlasia z Hufca ZHP Białystok

WIERNA RZEKA HARCERSTWA
t. III

BARBARA WACHOWICZ

Rudy, Alek, Zośka

**gawęda o bohaterach
„Kamieni na szaniec”**



OFICYNA WYDAWNICZA RYTM
WARSZAWA

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych
Wiktor Jędrzejec

Korekta
Oficyna Wydawnicza RYTM

Zdjęcia współczesne
Barbara Wachowicz

Wybór zdjęć archiwalnych
Barbara Wachowicz

Reprodukcje
Adam Płuciennik

Zdjęcia ze zbiorów:
Zdzisławy Bytnarowej, Danuty Dziekańskiej, Anny Zawadzkiej,
Janiny Kamińskiej, Ewy Rzetelskiej-Feleszko, Danuty i Jana Rossmanów,
Marii Dawidowskiej-Strzemboszewej, Bolesława Leonharda,
Barbary Wachowicz,
Muzeum Historycznego m.st. Warszawy,
Muzeum Harcerstwa,
Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP im. Aleksandra Kamińskiego.
Z albumów: Jerzy Piórkowski i Stefan Bałuk, „Miasto nieujarzmione”,
Andrzej Krzysztof Kunert, „Wrzesień 1939”

© Copyright by Barbara Wachowicz
Warszawa 2007

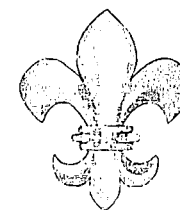
Żadna część tej książki nie może być wykorzystana w jakiegokolwiek formie
bez zgody autorki

94(438).081/.082:32P78A/2:82P-059 8/6
ISBN 978-83-7399-321-1

Druk i oprawa
Łódzkie Zakłady Graficzne

Oficyna Wydawnicza RYTM prowadzi
sprzedaż wysyłkową książek z rabatem.
Szczegóły na stronie www.rytm-wydawnictwo.pl
Zamówienia można składać pod adresem:
Oficyna Wydawnicza RYTM
ul. Górczewska 8, 01-180 Warszawa
tel./fax (0-22) 631-77-92, lub fax: (0-22) 862-37-59
e-mail: dzial.handlowy@rytm-wydawnictwo.pl

10133



Posłuchajcie opowiadania
o Alku, Rudym, Zośce (...),
którzy w życie wcielić potrafili
dwa wspaniałe ideały:
BRATERSTWO i SŁUŻBĘ.

Aleksander Kamiński – „Kamienie na szaniec”



Harcerkom i Harcerzom polskim
wiernie pełniącym służbę
w braterstwie
życząc by wolno im było powtórzyć słowa:
ZAWSZE Z TOBĄ POLSKO!

słowa: Ignacy Koziński

Tempo marsza



Wszy-sko, co na - sze, Pol - sce od - da - my,
 w niej tyl - ko ży - cie, więc i - dziem żyć! Świ - ty sie
 bie - la, roz - twórz - my bra - my, ha - sto wy - da - ne:
 Wstań, w słońce idź! Ra - mię preż, sto - bość krusz,
 du - cha też, Oj - czy - źnie mi - tej służ! Na Jej zew
 w bój czy trud pój - dzie rad har - ce - rzy polskich
 ród, har - ce - rzy pol - skich ród _____!

Wszystko co nasze, Polsce oddamy.
W Niej tylko życie, więc idziem żyć!
Świty się biela, otworzymy bramy,
Hasło wydane: Wstań, w słońce idź!

Ramię preż, słabość krusz,
ducha też, Ojczyźnie milej służ!
Na Jej zew w bój czy trud
pójdzie rad harcerzy polskich ród!



Hymn napisany we Lwowie w roku narodzin polskiego harcerstwa – 1911.
Słowa: Ignacy Koziński, refren: Olga z Drahonowskich Małkowska



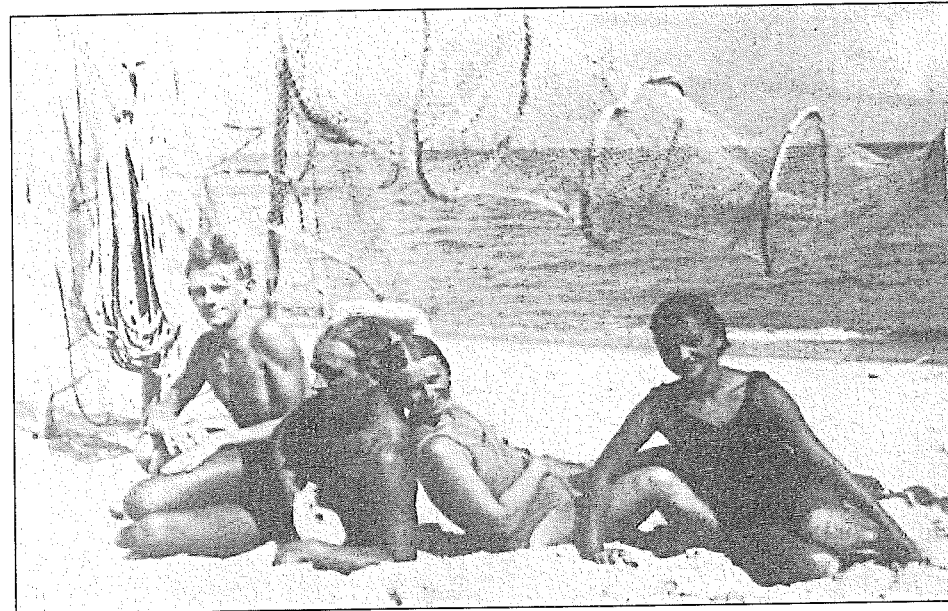
Święta miłości kochanej Ojczyzny
oto w Twą służbę wchodzi hufiec nasz.
Od lat najmłodszych do późnej siwizny
pragniemy przy Tobie czujną trzymać straż.

Równajmy krok, wytyśmy wzrok,
czy się gdzie podstęp nie kryje.
Uderzmy w ton, silny jak dzwon:
Polska niech żyje, niech żyje!

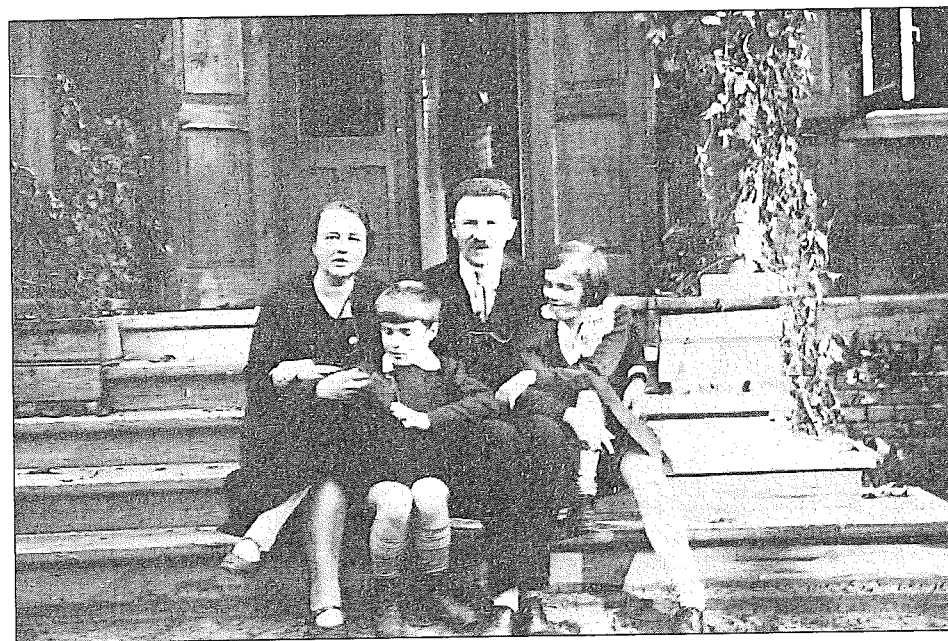
Pragniemy spajać nadziei ogniwa,
że nam zwycięstwo da nabyty hart,
że i Ty z nami żyć będziesz szczęśliwa
i każdy syn Twój będzie Ciebie wart.

Świę - ta mi - to - ści ko - cha - nej Oj - czy - zny,
o - to w Twą służ - bę wcho - dał hu - fiec nasz.
Od lat naj - mi - to - dzych do póź - niej si - wi - zny
pra - gnię przy to - bie czuj - ną, trzymać straż.
Ró - wnej - my krok, wy - ty - śmy wzrok,
czy się gdzie pod -stęp - nie kry - je.
U - de - rzmy u ton sil - ny jak dzwon:
Pol - ska niech ży - je, niech ży - je.

Pieśń nawiązująca do hymnu Rycerskiej Szkoły Kadetów, której uczniem był Tadeusz Kościuszko, patron pierwszych drużyn naszego harcerstwa. Ofiarowana przez Władysława Belzę, autora Katechizmu Dziecka Polskiego druhowi Andrzejowi Małkowskiemu w 1911 roku we Lwowie



Domy w słońcu





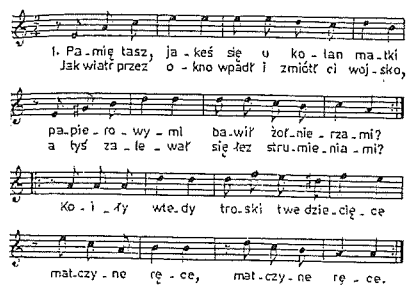
Matka i Syn. On – Janek Bytnar – stanie się bohaterem najslawniejszej książki czasu okupacji, wzorem i symbolem bohaterstwa i służby dla harcerek pokoleń, legendą Szarych Szeregów. Ona – wybitny, ofiarny pedagog, będzie kierowała pocztą powstańczą w Śródmieściu, uzyska – jak On – stopień podporucznika Armii Krajowej i najpiękniejsze imię Matuli Polskich Harcerzy

Pamiętasz, jakęś się u kolan Matki papierowymi bawił żołnierzami?
Jak wiatr przez okno wpadł i zmiotł ci wojsko,
a tyś zalewał się łez strumieniami?
Koiły wtedy troski twe dziecięce
Matczyne ręce.

A później, później, gdyś już był harcerzem,
ileż to w domu było ambarasu,
gdyś się sposobił do pierwszej wyprawy
w daleką drogę do bliskiego lasu
gładziły jasne włosy twe chłopięce
Matczyne ręce.

One cię zawsze przygarniały czule,
gdyś był w chorobie, smutku lub potrzebie,
one zło wszelkie od cię oddalały.

Piosenka „Matczyne ręce” Adama Kowalskiego, dedykowana na naszych kominkach pamięci Matek Harcerzy Szarych Szeregów



Przytul je mocno do ust twoich synu,
ze czią największą ucałuj w podcięcie
Matczyne ręce.

Rodzice Rudego

„Dzień dobry najukochańsza nasza Druhno-Matulu...”, „Czuwaj, Kochana Matko...”, „Matulu Jedyna...”, „Kochana Pani Matko!”, „Matulu Janka i Nasza!”, „Ukochana Matulko...”, „Szanowna Matko Naszego Bohatera!”, „Matulu Serdeczna, nasza opoko!”, „Matko Rudego i Wszystkich Polskich Harcerzy...” Setki listów z całej Polski płynęły do tego domu przy Alei Niepodległości w Warszawie. Piętrzyły się na biurczku Matuli.

Podwórko z kapliczką Matki Boskiej. Tędy Janek wybiegał do szkoły, potem na akcje. Tędy wyprowadzili go Niemcy o ciemnym przedświcie 23 marca 1943 roku w ostatnią drogę. W tym domu mieszkała do końca życia, czyli do sierpnia roku 1994, Zdzisława Bytnarowa, matka Rudego, nosząca imię Matuli Polskich Harcerzy.

Podczas Rajdu Arsenał, na Zaduszki, 1 sierpnia, w dniu marcowym urodzin Matuli szare mundurki oblegały dom... Dla wszystkich otwierał ramiona.

„Wiwat Rzeszów nasz!”

„Urodziłem się 31.III.1897 w Ostrowie pow. Przeworsk jako jedyny syn wyrobników Macieja i Katarzyny [...]. Do szkoły ludowej uczęszczałem w Ostrowie, a potem do miejskiej w Kańczuzdze. Tam to jako chłopiec przejęty już byłem duchem niepodległościowym, zawdzięczając to niektórym wychowawcom, którzy wpajali w młode serca patriotyzm, a pieśni z czasów powstań mocno wryły się w mą duszę”...

Tak zaczyna swój życiorys Stanisław Bytnar, ojciec Rudego. Odnalazłam ten cenny tekst w zbiorach Wojskowego Instytutu Historycznego, wśród ankiet wypełnianych przez bohaterów I wojny, typowanych do odznaczenia Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

Ostrów. Mała wioska, odległa od Rzeszowa o dwadzieścia kilka kilometrów. Do dziś trwają tam chaty przypominające czasy, gdy do czarnookiej panny Katarzyny z domu Chmura (czyli – jak zawsze mówiła Matula – Chmurzanki) ogniście smażył cholewki Maciej Bytnar. Wśród zdjęć ofiarowanych mi przez matkę Rudego jest portret kobiety o rysach twardo rzeźbionych i oczach czarnych, przenikliwie patrzących. Przygarnia do siebie gestem opiekuńczym, serdecznym dwoje dzieci – wnuków. To ona, babka Janka, Katarzyna z Chmurów Bytnarowa.

Opowiadała o swej teściowej podczas niezapomnianych harcerskich posiadów przy Alei Niepodległości Matula:

– Panna Chmurzanka była ubogą sierotą, ale tańczyła i śpiewała pięknie, wiła wieńce dożynkowe, słynęła jako niezrównana „bajczarka”. – Zbierały się dzieci słuchać baśni Katarzyny o Roku i jego dwunastu synach. Każdy miał swoje gospodarstwo i każdy inne zalety... Był hartowny Styczek, odważny Lutek, kwiecisty Majek, zbożnie pracowity Lipek, przędzący babie lato na sukienki dla sierot Paździerzak, o duszach zmarłych pamiętający Listek, piastujący Dzieciątka Grudnik... Biedne, wiejskie dzieci – nie mające przecież nie tylko radia, telewizji, ale nawet książki – słuchały – zaczarowane.

Tak będzie w przyszłości słuchał babcinych opowieści nasz mały Jaś z siostrzyczką Dusią...

Biegały też dzieciśka z Ostrowa za Maciejem Bytnarem, gdy szedł wioską tnąc zamasyście na skrzypeczkach, wesole, wędrowny grajek... Zakochał się w Kasi Chmurzance bez pamięci, na każdej zabawie przytupywał, prosząc ją do tanów:

Dziewczyno kochana – z tysiąca wybrana
Z tysiąca jednego – do kochania mego.

Nieraz go chłopaczyska stłukły, bo Kasia – urodziwa, pracowita, szybka niejednemu się upodobała. Ale Maciej wreszcie wyśpiewał:

Siwy koń pode mną – siadaj Kasiu ze mną
Trzymaj się ogona będziesz moja żona...

I była. Dzielną i nieszczęśliwą. Bieda doskwierała okrutna, na niecałej mordze gruntu, rozciętej w pięć kawałków, chleb się rozdził skapo. Mąż fruwał ze skrzypcami światami, a dziecka nie było. Na wsi – to klątwa. Katarzyna przebłagała los, czołgając się na kolanach, nosząc kamienie przez San. Wymodliła. Piętnaście lat po ślubie urodził się syn Stanisław.

Wychowała go sama... Maciej – rad z jedynaka, nadal przepadał na weselach i po karczmach, wreszcie wrócił, żeby żonie i synowi obwieścić, że wyrusza do Ameryki, gdzie drzewa rosną takie: – jedno – że nożem rozciąć – a mleko samo płynie, drugie – że w wonny chleb się przemienia. „Cudze kraje chwalmy, swoich się trzymajmy” – odpowiedziała Katarzyna. Mąż wesa pokręcił, pieniądze na drogę pożyczył, zaśpiewał:

Odjeżdżam ja ciebie – jak miesiąc na niebie
A za roczek, za dwa – powrócę do ciebie...

Nie powrócił nigdy, przepadł w jakiejś kopalni ołowiu. Zostawił synowi jedyne dziedzictwo – talent muzyczny.

Matka harowała, długi płaciła.

Staś miał dzieciństwo jak z wierszy Marii Konopnickiej o tych wiejskich pacholętach, co ze skibką czarnego chleba od deszczu się chroniąc pod dziurawą płachtą, pasą nędzną krowinę miedzami. Przeżył też z matką trzy lata wędrówki do Prus za chlebem. Zdolny i pracowity szybko opanował niemiecki...

Gdy wrócili do Ostrowa, okazało się, że w ich chacie jedna izba jest wynajęta na szkołę, a za tablicą szkolną ma swój kątek mieszkalny pani nauczycielka... Kim się stała dla Stasia, świadczy fakt, że na zawsze zapamiętał jej imię – Olga Ludwizanka.

Matka sprzątała, paliła w piecach, prała, gotowała, robiła wszystko, żeby tylko Staś mógł się uczyć. Skończył te dwie klasy – świetnie – i co dalej? Najbliższa szkoła w Kańczudze ponad trzy kilometry. Roztopy, śnieg, błoto. Śnieżyste zimy kładły się zamieciami. Brnęli oboje – matka torując ciężkimi buciorami drogę... Staszek idąc w jej trop.



Tą wierzbową drogą wędrował mały Staszek Bytnar z Ostrowa do szkoły w Kańczu-
dze codziennie kilka kilometrów, zapadając w śnieg i błoto, zimą i jesienią...



Ostrów, wieś rodzinna Stanisława Bytnara na Rzeszowszczyźnie

To w tej szkole znaleźli się nauczyciele uczący młodzież pie-
śni „Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały”...

W zyciorysie Stanisław Bytnar pisze: „Byłem dobrym
uczniem, więc matka wszelkimi sposobami pragnęła mnie
kształcić. Nadludzkim wysiłkiem, bo z pracy rąk tylko umieściła
mnie w seminarium nauczycielskim w Rzeszowie w roku 1912.
[...] Ciężka była moja dola, matka nie miała na opłacanie kosztów
za internat, musiałem sam borykać się zarabiając lekcjami. Co
2 tygodnie maszerowałem pieszo z Rzeszowa do rodzinnej wioski
po chleb, który na plecach dźwigałem z powrotem”...

Młodość – jak Andrzeja Radka z „Syzyfowych prac”, droga
ubóstwa, upokorzeń, głodu, wyrzeczeń, hartu. Marzenie – zostać
nauczycielem.

Jest listopad roku 1912. W Rzeszowie działa już drużyna
skautowa, był tu Andrzej Małkowski – twórca naszego harcer-
stwa, urzekł chłopców ideą skautingu. Zastępem „Lisków” dowo-
dzi szesnastoletni gimnazjalista – Leopold Kula. W przyszłości –
bohater Legionów, któremu swą pierwszą biografię „Oficer Rze-
czypospolitej” poświęci Aleksander Kamiński,,

Lisek – jak go nazwą serdecznie koledzy – był osobowością
niezwykłą...

Melchior Wańkowicz – ostatni z wielkich, co tak pióro wodził
– spotkawszy się z Kulą na legionowych szlakach, jego „jasnej
pamięci” dedykował swe wstrząsające „Strzępy epepei”.

W jego wspomnieniach jawi się Lis – chłopięcy i męski, sku-
piony i rozradowany. „Był duszą nas wszystkich i radością życia
każdego z nas...” – Wrył mi się w pamięć na życie całe – opowia-
dał mi pan Melchior. – Każdego brał za rękę i wiódł. Miał ten naj-
wyższy przymiot dowódcy – podbijał osobiście każdego z podko-
mendnych. Promieniowało od niego... Miał takie jasne oczy. Wy-
dawało się, że przenikają ciemność nocną i otaczają nas ciepłem...
Kiedy po raz pierwszy stanął na naszym progu, moja młodziutka
żona zawołała: – Melku! Archanioł się zjawił!

„Kula swoją żywiołową naturą, temperamentem i zainteresowaniami wojskowymi nadawał ton i kierunek naszym harcom” – napisze we wspomnieniach o rzeszowskich latach harcmistrz Józef Kret (współpracownik druha Kamyka w latach międzywojennych, a podczas II wojny – działacz Szarych Szeregów na Rzeszowszczyźnie, więzień karnej kompanii Oświęcimia, autor pięknej pracy „Harcerze wierni do ostatka”).

„Głos Rzeszowski” w kwietniu 1912 roku informuje: „Ponieważ cel i zadanie skautingu nie są jeszcze wszystkim znane, zaznaczamy, że praca nasza odbywa się w trzech kierunkach:

1. poznanie przyrody i zbratanie się z nią.
2. dbanie o rozwój fizyczny i kształcenie charakterów.
3. stwarzanie pogotowia narodowego”.

Nawet jak na najbardziej tolerancyjny zabór austriacki – ten trzeci punkt zdumiewa odwagą oficjalnego stwierdzenia, iż harcerstwo kształcić będzie „szeregi bojowników narodowych” (o czym dalej w tymże „Głosie” przeczytać możemy!!!). Tak się też staje – gdyż Lisek jest nie tylko duszą rzeszowskiego skautingu – ale czołowym działaczem Związku Strzeleckiego – jednej z organizacji militarnych powołanych w ramach Związku Walki Czynnej przez Józefa Piłsudskiego, by kształtować przyszłych żołnierzy niepodległości... Regulamin strzelecki mówi: „Ćwiczenia w czasie pokoju powinny nas przygotowywać do boju, należy wyrabiać w żołnierzach siłę moralną, panowanie nad sobą, wytrwałość fizyczną, samodzielność”. Jednym z pierwszych rzeszowskich Strzelców jest piętnastoletni Stanisław Bytnar. Píše w życiorysie: „Pamiętam ślubowanie, zbiórki i ćwiczenia z Lisem Kulą, Kotowiczem-Szatanem”. A ćwiczenia były nie byle jakie. Strzelcy uczyli się terenoznawstwa, strzelania, szermierki, taktyki boju, studiowali organizację wojsk zaborców, geografę militarną... Wysoka sylwetka Liska już w szarym strzeleckim mundurze uwijała się wśród chłopców na różnorakich, z pasją prowadzonych przezeń manewrach. „Kochali go i słuchali wszyscy – napisał matka Lisa – dwa lata przed wojną, chwili nie tracąc, robił

ćwiczenia, obiegał okolicę, zachęcał młodzież. Z rana przyszedł obłożony, oczyścił się i do klasy, po południu nauki, lekcje i znowu noc na ćwiczeniach, mało kiedy spał”...

Wspomniany przez Bytnara towarzysz działań Liska w Strzelcach – Kotowicz-Szatan, to dwudziestodwuletni Jan Stefan Kotowicz, starszy od obu chłopców, rodowity Rzeszowianin, maturzysta najstarszej szkoły w Rzeszowie imienia Stanisława Konarskiego, gdzie zdał maturę w 1910 roku, student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego...

Spotkają się ze Staszkiem w Legionach...

O atmosferze, w jakiej działali ci pierwsi skauci, mówi wspomnienie jednego z nich, drukowane na łamach „Głosu Rzeszowskiego” w lutym 1913 roku, nawiązujące do rocznicy Powstania Styczniowego: „I na ziemi naszej, w mroźne dni zimowe uwijał się przed pół wiekiem żołnierz polski... Nie wstrzymywał go lęk przed śmiercią niechybną – on szedł wytrwale naprzód...

I białą kości powstańcze... na śnieżnej pościeli lasów... Wielu ich zginęło od kul, wielu z ręki kata... Każdy z nich spełnił swój obowiązek. A jednak nie zginęli, została bowiem po nich idea walki o wolność z bronią i idea pracy organicznej...

Skauci Polscy to spadkobiercy plonów 1863 roku. Czy dźwigną zmurszały i słaby gmach Rzeczypospolitej? Czy dane im będzie walczyć i wywalczyć swobodę czynu Ojczyzny?”.

Odpowiedź na te retoryczne pytania brzmi: „potrzeba nam niezgłębionej miłości i ukochania sprawy naszej... Krzesać nam te cnoty trzeba, które żywiołowo broń w rękę kładą, które wiedzą do boju i zwycięstwa”.

W Rzeszowie, w tymże 1913 roku – Józef Mączka, przyszły oficer II Brygady Legionów i czołowy ich poeta, pisze wiersz-wezwanie:

Czuj duch! Gdzie stoisz szykuj front!
A gotuj broń u nogi! [...]
Hej! nie czas pytać – dokąd lot,

Gdy w skrzydła duch porasta...
Kuj serca kształt w stalowy grot!
Na ramię broń – i basta!

Strzelec Bytnar wymykał się do tych lotów strzeleckich chyłkiem, ryzykując wyrzuceniem ze szkoły. „Uzyskawszy stypendium, musiałem mieszkać w internacie – pisze w życiorysie. – Stąd było trudniej brać udział w pracy strzeleckiej, gdyż wychowawcy wrogo odnosili się do tego ruchu, a w szczególności tępili tych uzdolnionych – mieszkających w internacie. Jakaś jednak siła trzymała człowieka i mimo obawy przed donosem kolegów, starałem się nie pominąć żadnych ćwiczeń. Pamiętam na jednym z takich ćwiczeń nocnych zobaczyłem pierwszy raz Komendanta i tak mnie wziął swą postawą, że zaprzysiągłem mu życie”.

Tym Komendantem był oczywiście Józef Piłsudski.

„Siła rozumu, hart serca, cierpliwość planu i ręczość w jego wykonaniu, to zasadnicze cechy charakteru Piłsudskiego. Człowiek nadzwyczajny, wódz urodzony” – napisze o nim jego adiutant, legionista i znamienity pisarz, Juliusz Kaden-Bandrowski.

W szarym strzeleckim mundurze, spod zsuniętych nad intensywnie błękitnymi oczyma brwi obserwował uważnie późną wiosną 1913 roku manewry, w których Lis-Kula brawurowo oskrzydlił „nieprzyjaciela”.

Mawiający złośliwie o rodakach, którzy dawno utracili rycerskiego ducha, że zabłądzą w trzech sosnach, a do konia podchodzą jak do tygrysa – Komendant z satysfakcją pochwalił rzeszowskich Strzelców i ich dowódcę, za „przytomność umysłu, szybkie działanie i dobrą postawę całego plutonu”.

Tę chwilę przeżył Strzelec Bytnar i nigdy jej nie zapomniał.

1 sierpnia 1914 roku wybuchła wojna, która miała przejść do historii jako pierwsza światowa.

„Wojna zastała mnie u matki na wsi – czytamy w życiorysie Bytnara – miałem siedemnaście lat... Pożegnałem się z matką... Trochę łez i błogosławieństwo na drogę.



„Komendant tak mnie urzekł, że zaprzysiągłem mu życie” – napisał Stanisław Bytnar o Józefie Piłsudskim. Portret Komendanta wisiał zawsze w pokoju Rudego



Pułkownik Leopold Lis-Kula, „ukochany chłopiec Komendanta”, bohater pierwszej biografii napisanej przez Aleksandra Kamińskiego – „Oficer Rzeczypospolitej”, dowódca pierwszego skautowego zastępu „Lisów” w Rzeszowie, w jego kompanii Stanisław Bytnar wyruszył do Legionów. Lis-Kula jest jednym z bohaterów pierwszej książki wydanej pod tytułem „Kamienie na szaniec” w 1937 roku! – ulubionej lektury Janka Bytnara. Przeszedł cały szlak bojowy I Brygady Legionów, odznaczając się nieprawdopodobnym męstwem, jego sylwetkę znaleźć możecie w obu pierwszych tomach „Wiernej rzeki harcerstwa”

Z kompanią Lisa-Kuli wyjechaliśmy do Krakowa, a stamtąd na front”. Był 5 sierpnia roku 1914. Grzmieli radośnie, a Staszek, śpiewak zawołany, prym wiódł:

Co chłop zdrowy – dusza zdrowa
To na pewno jest z Rzeszowa
Więc panowie – jego zdrowie –
Wiwat Rzeszów nasz!

Maszerują strzelcy...

„Na śmierć, czy na życie, na zwycięstwo, czy na klęskę – idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania” – powiedział im Piłsudski.

Spełniała się oto modlitwa Mickiewicza z „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego”: „O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię, Panie!” Stanęli na bitewnych polach Europy trzej Polski wrogowie – Austria i Niemcy przeciw Rosji.

Obie strony walczące wabiły Polaków.

Car deklarował: „...z sercem otwartym, z dłonią po bratersku wyciągniętą kroczy na Wasze spotkanie wielka Rosja”.

„Przychodzimy jak przyjaciele. Zaufajcie nam!” – nęciły odezwy dowództwa niemiecko-austriackiego.

Komendant Piłsudski – w młodości zesłaniec syberyjski – wybrał to drugie zło. Chciał stworzyć wojsko polskie – możliwie niezależne, co okazać się miało w przyszłości – tylko marzeniem. Niemiecko-austriacy „sojusznicy” rozwiążą Legiony, gdy te odmówią przysięgi na wierność, uwiężą Piłsudskiego. Ale to będzie latem roku 1917.

Teraz – w sierpniowe dni roku 1914 – Legiony stają się zarzewiem, iskrą zmartwychwstania.

My, Pierwsza Brygada – Strzelecka gromada
Na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos...

„Przeszedłem marsz pod Laski – bitwę pod Laskami – odwrót, aż pod Krzywopłoty” – pisze w życiorysie żołnierz VI batalionu 3 kompanii 1 pułku I Brygady Legionów – Stanisław Bytnar.

Od 23 do 26 października 1914 trwały ciężkie boje pod Laskami w okolicach Dębina... Komendant Piłsudski „był wszędzie, gdzie czuł, że chłopcy potrzebują otuchy”.

We wspomnieniach „Moje pierwsze boje” napisał: „Pierwszy raz odczuliśmy na sobie wpływ silnego ognia artylerii, pierwszy raz przeżywaliśmy cięższe straty. (...) trzydniowy bój z nieprzespanymi nocami przy chłodach jesiennych musiał się na nas odbić”. Marsz spod Lasek do Krzywopłotów nazywa Komendant „pamiętnym” – „maszerowaliśmy strasznie wolno, po ciężkiej piaszczystej drodze, która zdawała się nie mieć końca”.

Nie ma już z kompanią rzeszowską Lisa-Kuli, odkomenderowanego, by werbował ochotników w Łodzi... W żmudnym odwrocie spod Lasek Staszek Bytnar cudem uchodzi śmierci („mało brakowało, by nas Kozacy nie wybili, ale mimo przewagi z ich strony zostali odparci” – wspomina). Solidarność Legionową i trud marszu odda w książce „Piłsudczycy” Kaden-Bandrowski: „Brata się pod szarym zaszczytem piechurskiego płaszcza fach najrozmaitszy i brata się ziemia rozdarła... Doktor medycyny łokieć w łokieć maszeruje z bednarzem, filozof z szewcem, matematyk z chłopem.

Zaś ty najmłodszy!

Oczy cię pieką jak kule ogniste, a na ramionach od pasów płomienie czujesz dwa... Na grzbiecie, niczym żarna ogromne cięży ci plecak, a karabin zjeżdża z obojczyka...

Idzie cała kolumna, nie myśląc, czy w czarną śmierć czy w zwycięstwo”...

Czasem zrywa się – na przekór zmęczeniu – wesoła nuta piosenki (Staszek w tym celuje):

Na bok wisielcy,
Bo idą strzelcy,
Hej, strzelcy wraz!

Czasem zmieniają ton i śpiewają pieśń, która stała się już ich mottem i wezwaniem:

Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój,
Nie noszą ni srebra, ni złota,
Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój
Piechota, ta szara piechota.

Maszerują strzelcy, maszerują,
Karabiny błyszczą, szary strój,
A przed nimi drzewa salutują,
Bo za naszą Polskę idą w bój.

Listopadowego wieczoru docierają do Krzywopłotów.

„Zgorączkowani i wyczerpani ludzie jak kłody legli do snu... Nawet zimny poranek listopadowy nie zbudził nas ze snu. Poprzez szronem pokryte gałęzie niskich, koszlawych, niwyrosłych na piaszczystej glebie sosen, pod przykryciem mgły, przejmującej do szpiku kości chłodem, tuliły się ciała śpiących do siebie. Zdawało się, że w ciągu tej jednej nocy listopadowej chciano odespać całe swe zmęczenie, wszystkie nieprzespane noce, że chciano w kamiennym śnie znaleźć ukojenie dla nerwów, że wreszcie chciano okłamać głód – towarzysza nieodłącznego ostatnich dni odwrotu” – wspomina jeden z dowódców kompanii IV batalionu (a w przyszłości, w Polsce wolnej, generał dywizji), Ludwik Piłskor. 9 listopada Piłsudski, siedząc na garstce słomy, patrzy w płomień ogniska, wokół którego „zmęczeni ludzie walili się jak snopy na wilgotną, zimną, jesienną ziemię”. Poprzez chmury przedzierało się „szaro-srebrne” księżycowe światło, „dolatywało poważny szum boru” i „gdzieś w głębi duszy – pisze Komendant – wypływały wspomnienia młodości na Litwie, Syberii i nocach myśliwskich, spędzonych tak samo w półśnie, przy rozpalonym ogniu”. O szarym poranku, 9 listopada Piłsudski, otrzymawszy od dowództwa austriackiego rozkaz „wywiadu przed frontem”, odchodzi z kilkoma batalionami w brawurowy marsz i przecinając ogromne siły Moskali, przedziera się do Krakowa...

Smutek rozstania wynagradza rzeszowiakom pojawienie się pod Krzywopłotami Lisa-Kuli z jego kompanią łódzkich rekrutów. Padają sobie w objęcia ze strzelecką wiarą Rzeszowa. „Ileż radości. Przecież to stare kamraty w szeregach zahartowanego już w walkach odwrotowych VI batalionu” – czytamy w sylwetce Lisa, zatytułowanej wymownie „Ukochany chłopiec Komendanta”, a zamieszczonej wśród dwunastki legendarnych legionistów w książce Karola Koźmińskiego – „Kamienie na szaniec”, wydanej w roku 1937!

VI batalion, w którym jest kapral Stanisław Bytnar, zajmuje pozycję w lesie, tuż za baterią artyleryjską majora Ottokara Brzozy-Brzeziny z pochodzenia Czecha, z przekonania – wiernego Polaka.

„Co to za kawał grata? To jest nasza armata” – kpią w wierszyku legioniści z tych dostojnych staruszek, zdradzających swe stanowiska chmurą dymnego pyłu i wywijających kozła do góry kołami po strzale...

18 listopada o czwartej nad ranem, gdy trwała jeszcze ciemna listopadowa noc, VI batalion otrzymuje rozkaz wymarszu do natarcia na pozycje moskiewskie okopane we wsi Załęże... Dowódca batalionu – rzeszowiak, kapitan Albin Fleszar, pseudonim Satyr, prowadzi swych żołnierzy. Ma lat 26, jest synem ubożego nauczyciela ludowego z rzeszowskiej wsi Kąkolówka, absolwentem Uniwersytetu Lwowskiego, geologiem-geografem, już o wielkim dorobku naukowym i pięknej przeszłości w Związku Walki Czynnej. Kaden-Bandrowski napisze o nim pięknie w „Piłsudczykach”: „...barczysty i spokojny, o twarzy dziwnej, nieodgadnionej jak ziemia... komendant VI batalionu – Satyr Fleszar.

Trudno o skromniejszy pseudonim. Czoło ogromne, pod jasnym kłosem brwi oczy skośne, zielone, a zimne, o nagłych blaskach...

Fleszar, uczony geolog”... Jego potężna wiedza o ziemi, teraz gdy patrzy na łagodną podkowę pola bitwy, „krzyżuje się z tym maleńkim pasemkiem przemijania, jakim jest ta wojna i ta czarna

fala śmierci...”, ku której może za chwilę poprowadzi swoich legionistów...

3 kompanią „rzeszowską”, w której jest Staszek Bytnar, dowodzi jego imiennik – porucznik Stanisław Paderewski, młodszy brat przyrodni genialnego muzyka, inżynier-górnik, 4 kompanię prowadzi Leopold Lis-Kula.

Dowódcą plutonu Staszka Bytnara jest stary przyjaciel z rzeszowskiego Strzelca, Kotowicz-Szatan.

Stoją w pogotowiu. Ktoś się modli. Ktoś próbuje nucić piosenkę o rozmarynie: „Pójdziemy z okopów na bagnety”... Pojawia się kapelan, udziela rozgrzeszenia „in articulo mortis”, błogosławi.

O 8.30 kompania 3-cia, rzeszowska, rusza do natarcia. W nocy spadł śnieg, ciemne sylwetki legionistów widać jak na dłoni. Przeciwno tym ledwo osmalonym pierwszym prochem młodzikom stoi wyborowa rosyjska dywizja syberyjska z potężnym gniazdem karabinów maszynowych.

Paderewski rzuca rozkaz: – Pierwszy pluton, naprzód! Unosi rękę – i ugodzony w pierś pada. Pluton Szatana rzuca się skokami do ataku... Rosyjski karabin maszynowy tnie żywych i dziurawi ciała martwych.

Pada, ugodzony w serce, podporucznik Eugeniusz Medyński, o którym opowiadają, że biegł do ataku, śpiewając „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”... Kula przebiła ostatni list, jaki pisał – on, syn ubożego szewca z kresów, twórca oddziałów strzeleckich w Belgii – do ukochanej...

Opisuje uczestnik bitwy, żołnierz kompanii rzeszowskiej, kapral Franciszek Sokół: „Mieliśmy podziurawione kulami czapki, płaszcze, łopatki, ja miałem przestrzeloną sztylpę na prawej nodze oraz płaszcz i mundur. Rozgorączkowani, zziązani, oblepieni błotem, ogłuszeni hukami pękających pocisków przemy naprzód, od drzewa do drzewa, od jednego płotu do drugiego: co chwila ktoś zostaje – to zabity lub ranny”.

Odciętemu, osaczonemu huraganowym ogniem batalionowi grozi zagłada. Niedobitki, chroniące się wśród płonących chat wsi

Załęże, widzą nagle pędzących od lasu z odsieczą kolegów, na przedzie z uniesioną szablą sady długimi susami wysoka, tak dobrze im znana postać – Lis-Kula. Jeszcze chwila – dobiegną. Nie! Potyka się. Pada. Ktoś krzyknął. Ktoś zaszlochał. Ale oto „ukochany chłopiec Komendanta” zrywa się, dogania swoich, wpada do wsi... To tylko pochwa od szabli zaplątała mu się między nogi...

W łoskot karabinów moskiewskich wchodzi niespodzianie ryk armat. To kapitan Brzoza – ryzykując życiem – wytoczył zniecka swą baterię „starych gratów” na otwarte pole i błyskawicznie zmieniając pozycje, zasypał ostrzałem szańce rosyjskie...

Pole spowijają chmury dymu. Pod ich osłoną batalion VI wraca do lasu, skąd ruszył w bój. Została ich połowa. Z 3-ciej rzeszowskiej kompanii poległo 60%. Ranny jest Kotowicz-Szatan. Gdzieś tam, w prószącym śniegu został Staszek Bytnar. Zapada noc. Ale koledzy z batalionu – ta ocalona gromadka – idą na ochotnika z ofiarnymi sanitariuszami zebrać poległych, może jeszcze ocalić rannych. Migają latarenki. Moskale zajadle ostrzeliwiają poszukujących. W topniejącym śniegu, biało-czerwonym od krwi, leży ciało kaprała Bytnara. Koledzy unoszą go, któryś ściska pożegnalnie dłoń przyjaciela. Może to on – śpiewak batalionu – wynucił prozoczno „śmierć mnie ucałuje”... Ale dłoń jest ciepła. Puls kołacze!

Ciężko ranny w pierś, brzuch, lewe ramię – siedemnastoletni legionista, nieprzytomny, opuszcza w ostatnim ambulansie bitewne pole pod Krzywopłotami.

Kapitan Fleszar-Satyr powie ocalonym: „Pokazaliście w natarciu i odwrocie, jak ginie, jak umiera żołnierz polski. Niestety, ofiara nasza zbyt ciężką jest i bolesną... Ciężką jest dla nas, którzyśmy mieli wśród siebie tych, co pozostali tam na polach Załęża i Krzywopłotów. Ja ich już opłakałem”...

Był złotojesienny dzień września roku 1994, gdy dotarłam na pole bitwy pod Krzywopłotami, ciche, zielone, czerwieniejące głogami, szumiące potężnymi brzożami, przecięte leniwą rzeczułką...

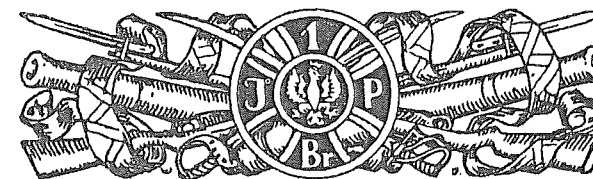
Ulicą Stanisława Paderewskiego można dojść ku pomnikowi. U stóp krzyża skrzyżowane szable otula strzelecka kurtka...

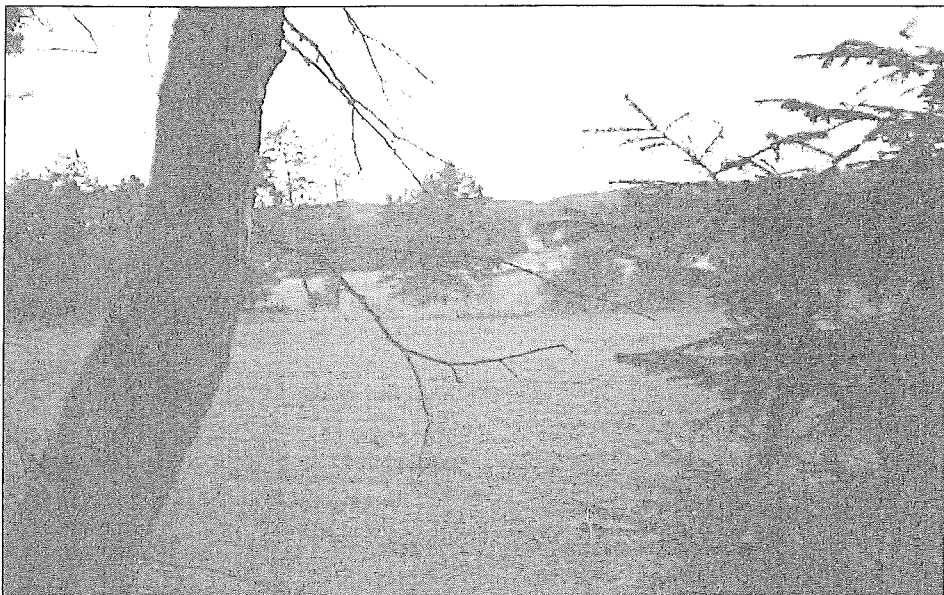


Pomnik Legionistów na polu bitwy pod Krzywopłotami z mottem wziętym z wiersza Juliusza Słowackiego – „Niechaj nas przecie widzą gdy konamy”

Phm. Kazimierz Kalaga z Hufca Dąbrowa Górnicza Chorągwi Śląskiej organizuje rajdy harcerskie trasą na której splata się szlak żołnierzy Batalionu „Parasol”, bohaterów zamachu na SS-mana i kata Krakowa – Koppego – i legionistów walczących pod Krzywopłotami. Pod pomnikiem jest zawsze uroczysty apel zaczynający się wierszem hm. Edwarda Nowaka „Jodły”:

**Legioniści polegli w czternastym roku
na błoniach pod Załężem i Krzywopłotami
Zlecieli się jak orły z gradowych obłoków
I duchem stanęli do Apelu z nami!**





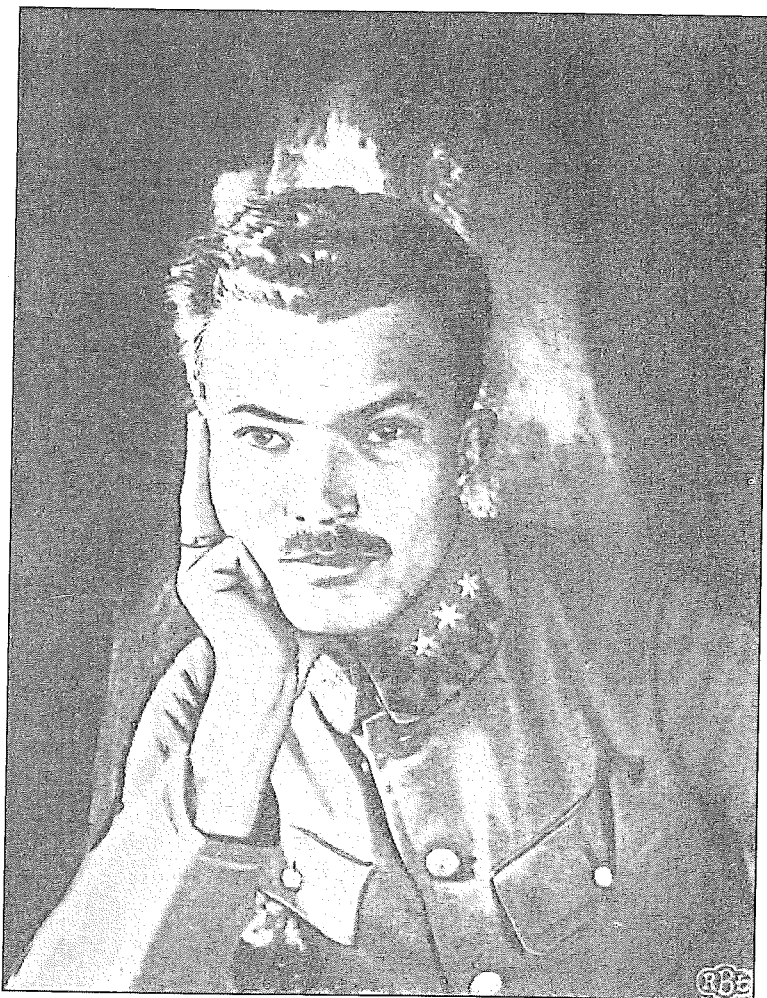
Tu w listopadowe dni 1914 roku walczył siedemnastoletni Stanisław Bytnar. W brawurowym ataku na Moskali został ciężko ranny



Pole bitwy pod Krzywopłotami – świadek dramatycznej walki legionistów z przeważającymi siłami moskiewskimi



Pułkownik Wojska Polskiego i Armii Krajowej – Jan Stefan Kotowicz (1890–1963) towarzysz broni Stanisława Bytnara ze Związku Strzeleckiego w Rzeszowie i Legionów. Ciężko ranny w bitwie pod Krzywopłotami. Bohater walk w obronie Lwowa w 1918 i wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Podczas lat niepodległości – dowódca 6 Pułku Strzelców Podhalańskich. W kampanii wrześniowej 1939 – dowódca 3 Brygady Strzelców Górskich, która walczyła samotnie nad granicą słowacką do 18 września. Internowany na Węgrzech pułkownik Kotowicz przedarł się do Polski przez zieloną granicę w 1943 roku i wszedł w skład Komendy Głównej Armii Krajowej, był ostatnim dowódcą 27 Dywizji Piechoty Wołyńskiej AK, walczył na jej czele z Niemcami do 24 lipca 1944. Aresztowany przez Sowieców już w październiku 1944 został skazany na 10 lat więzienia. Zwolniony na podstawie „amnestii” – dokonał żywota w rodzinnym Rzeszowie. Zdjęcie nadesłała harcmistrzyni Małgorzata Jarońska z Muzeum Okręgowego w Rzeszowie



Major Jan Albin Fleszar-Satyr, towarzysz broni Stanisława Bytnara ze Związku Strzeleckiego w Rzeszowie i w Legionach. Dowódca VI Batalionu I Brygady Legionów w bitwie pod Krzywopłotami. Bohater, odznaczony Virtuti Militari za czyny bojowe, znakomity naukowiec w dziedzinie geologii, jedna z najbardziej tragicznych postaci naszych Legionów. Przeżywszy dramatyczne boje na froncie wschodnim – pod Kostiuchnowką, nie przeżył dramatu Legionów Polskich, niszczonech przez „sojuszników” niemiecko-austriackich. 3 listopada 1916 roku popełnił samobójstwo. W edycji mu poświęconej, ze zbiorów Biblioteki Narodowej, pod zdjęciem mogiły majora, zwieńczonej legionowym orłem ktoś dopisał ołówkiem w 1976 roku; „Grób Satyra znajduje się na Powązkach Cywilnych kwatera T 7-my grób od alei głównej. Napis na grobie zmieniony, brak wzmianki, że był Żołnierzem I Brygady Legionów Polskich”

Na tablicy obok orła widnieją dwa nazwiska – porucznika Stanisława Paderewskiego i podporucznika Eugeniusza Medyńskiego. Na odwrocie pomnika wyryto nazwiska spoczywających w tej mogile 44 legionistów, listę zaczyna Stanisław Baran, zamyka Marian Wyszyński. Jedyne ich ślad na tej ziemi.

Jaki był los tych, ramię w ramię biegnących tu listopadowego dnia, którzy przeżyli?

Najtragiczniejszy – dowódca VI batalionu, majora Albina Fleszara-Satyra. Po bohaterskiej kampanii, jaką odbył przez bitewne pola I Brygady, gdy „sojusznicy” niemiecko-austriacy postanowili unicestwić Legiony – wbrew memoriałowi Piłsudskiego, że mają być one zawsze uważane „za Wojsko Polskie, które bije się i umiera za niepodległość Polski”, gdy Komendanta Austriacy zwolnili z Legionów i oddali pod nadzór policyjny, w zamęcie i rozpacz – dowódca VI batalionu Albin Fleszar-Satyr, dnia 3 listopada roku 1916 popełnił samobójstwo.

Lis-Kula, bohater wszystkich walk I Brygady, miał zaszczyt jako adiutant towarzyszyć Komendantowi Piłsudskiemu na uroczystym otwarciu pierwszego Sejmu niepodległej Rzeczypospolitej 10 lutego 1919 roku. Poległ w walkach z Ukraińcami niecały miesiąc potem – 7 marca. Na lawecie armatniej, którą go wieziono do mogiły, spoczywał wieniec: „Memu dzielnemu chłopcu – Józef Piłsudski”.

Obie wojny światowe przeżył Ludwik Piskor, bohater wojny polsko-bolszewickiej, szef sztabu Naczelnego Wodza, we wrześniu 1939 – dowódca Armii „Lublin”, więzień karnego obozu i twórca konspiracji tamże, nie wrócił do Polski, zmarł w Londynie... Odznaczony Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Przeżył obie wojny także Kotowicz-Szatan, z tej pierwszej strzeleckiej drużyny w Rzeszowie. Bohater walk o Lwów i wojny polsko-bolszewickiej, twórca Pułku Ziemi Rzeszowskiej, dowódca 6 Pułku Strzelców Podhalańskich, a we wrześniu 1939 – 3 Brygady Strzelców Górskich, w czasie okupacji – członek Komendy Głównej Armii Krajowej, w roku 1944 – ostatni dowódca 27 Dy-

wizji Wołyńskiej AK, która zwycięsko rozbiła niemieckie kolumny na Lubelszczyźnie. Aresztowany przez komunistów już jesienią 1944, po latach powrócił do rodzinnego Rzeszowa. Odznaczony Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Na płycie mogiły Legionistów poległych pod Krzywopłotami wryto frazy z wiersza Juliusza Słowackiego „Pogrzeb kapitana Mayznera” (bohater Powstania Listopadowego) nieco zmienione:

...Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz jak giną Ojczyzny obrońce
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości
Zapał przynajmniej na śmierć naszą słońce.
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą gdy konamy!

U Słowackiego jest: – Ale, Ty Boże... Błagamy Ciebie... Niechaj nas przecie widzą...

„Niosą oświaty kaganiec”

Kolbuszową, małe miasteczko na Rzeszowszczyźnie, przysiadłe nad rzeczułką o dumnej nazwie... Nil, ongi własność Lubomirskich, słynące z kunsztu „majstrów rzemiosła stolarskiego” (sławne kolbuszowskie meble), nazywają harcerze żartobliwie „stolicą Jankową”. Przed małym domkiem z tablicą anonsującą, że tu urodził się Rudy, harcerze z kolbuszowskiego szczepu im. Janka Bytnara zaciągają warty honorowe podczas uroczystych Dni Bytnarowskich, organizowanych przez Liceum im. Janka Bytnara, do którego dochodzi się ulicą Janka Bytnara... Dom narodzin Janka Bytnara, dom dzieciństwa i młodości jego matki. Tu się wychowało ośmioro dzieci Józefy i Józefa Rechulów, urzędnika skarbowego cesarsko-królewskiego, co brzmiało dumnie, a oznaczało „ciągłą krzątanie wokół drewnianej łyżki barszczu, ziemniaków i nieustającego uczucia niedosytu” – jak wspomni czas swego dzieciństwa Zdzisława z Rechulów. Bieda! Ojciec marzy i walczy o edu-

kację czterech synów. Gdzież tam myśleć o córkach! Największa nadzieja – syn Roman, po gimnazjum w Łańcucie miał studiować medycynę w Krakowie. Należał – tak jak ojciec – do Towarzystwa „Sokół”, które pod niewinną nazwą – Gimnastyczne, było forpoczta wojska polskiego... Jak wynika z wniosku o odznaczenie Krzyżem Niepodległości, 18-letni Roman Rechul wstąpił do Legionów 16 sierpnia 1914 i w 2 pułku II Brygady „brał udział w kampanii karpackiej, bukowińskiej i wołyńskiej”. To znaczy, że brat przyszłej Matki Polskich Harcerzy przeszedł cały krwawy szlak od Karpat poprzez Bukowinę po legendarne boje na Wołyniu... Może latem 1916 roku w bitwie pod Kostiuchnówką przecięły się jego tropy z Lisem-Kulą, a może go spotkał we Włoszech, dokąd po odmówieniu złożenia przysięgi „na wierność i towarzystwo broni” dowództwu niemieckiemu zesłano rozproszonych Legionistów, odbierając im stopnie oficerskie i zdzierając legionowe odznaki „za wierną służbę”. „Kopnięciem losu objam się po ziemi włoskiej” – zażartuje ze straceńczą brawurą Lisek w liście do siostry. Zimą roku 1917 „obja się”, prowadząc natarcie nad rzeką Piawą – i zwycięża, odnosząc jedenaście ran!

Może był wówczas wśród jego legionistów i Roman Rechul? Nie wiemy. We wniosku o Krzyż Niepodległości dla Romka jest adnotacja: „...dobry żołnierz. Zginął na froncie włoskim”.

Ostała po nim pamiątka – kora brzoza, na niej rycerz z orłem i wiersz: „Jak ojciec chodził nasz i dziad / Na boje sławne, krwawe / Tak też i nasz młodzieży kwiat / W bój poszedł, w bój po sławę”...

– Nasza rozpacz, że nawet nie wiemy, gdzie zginął... – **mówiła Matula**, trzymając w kruchych dłoniach kruchą korę – Nie mamy jego mogiły...

Smutne groby bez nazwiska,
Nad którymi krzyż połyska,
Z białej brzozy uciosany,
Próchniejący, zapomniany
Krzyż.
I przejdziecie – bezpotomni
Czas odbieży, świat zapomni...



Dziad Janka po kądzieli – Józef Rechul w mundurze „Sokoła”, organizacji pre-harcerskiej, która odegrała ogromną rolę w przygotowaniu młodzieży do walki o niepodległość



Roman Rechul (pierwszy z prawej), legionista 4 pułku II Brygady Legionów Polskich, przejdzie kampanie w Karpatach i na Wołyniu, polegnie u progu odzyskania Niepodległości – w roku 1918. Janek Bytnar będzie na jego cześć miał drugie imię – Roman



Roman Rechul, najstarszy z ośmiorga rodzeństwa jako uczeń gimnazjum w Łańcucie. Uczył się równie świetnie jak jego siostrzan – Janek Bytnar

Ten wiersz napisał towarzysz broni naszego Romka z II Brygady... Tak bardzo chciałam okrucuch pamięci o nim zachować. Dlatego memu synowi Jankowi dałam drugie imię – Roman...

Zdzisława Rechulówna postanowiła zastąpić brata. Musi się uczyć! Łzami, uporem, ambicją walczy o prawo do edukacji. Obiecuje ojcu, że w przyszłości wykształci dwoje rodzeństwa. (Słowa dotrzyma!) Z wymarzonego gimnazjum w Krakowie wzywa ją jednak ojcowski rozkaz. Wiotka, drobna, złotowłosa ma ogromne powodzenie. Oświadczył się o nią zasobny urzędnik namiestnictwa lwowskiego ledwo 15 lat starszy! W domu radość, wiadomo – słowo ojca – patriarchy święte. Dzinia (tak ją nazywano) zrobi świetną partię... Nie zrobiła. Na gromy: – Co ty sobie myślisz? – odpowiadała cicho, niezłomnie i niezmiennie: – Myślę o szkole! Zesłana za karę do apteki w Czortkowie, hen, na kresy, sumiennie warzyła mikstury pryncypałowi, który grywał w taroka z miejscową arystokracją i na wszelkie przypadłości ordynował smakowite nalewki. Było lato 1917, gdy upakowawszy swe dobra do wiklinowego koszyczka, dała nogę – prosto do jedyne go gimnazjum w Mielcu. Męskiego!

Opowiada mi:

– Wyobrażasz sobie – mam 16 lat, warkocz, kokardę. Dookoła chłopy pod wąsem. Amorki latają w powietrzu. Kursują bileciki z oświadczeniami, na których wzdychacze starannie litografują... hrabiowskie herby. Ja też zerkam na przystojnego bruneta. Czarny, rostry, ale nazwisko – o Boże – Gnida! Pociesza mnie, że je zmieni, ale owóz losy postanowiły inaczej – „hrabiną” Gnidową nie zostałam!...

Jedyna dziewczyna w klasie wysłuchiwała kokietliwych śpiewów na swą cześć: „W Mielcu chłopców roje / Chciały toczyć boje / o Twój uśmiech, słowo”... Nie miała czasu na uśmiechy. Kuła. Druh Janusz Krężel, niestrudzony biograf Matuli, autor cennych publikacji o niej, znalazł świadectwo z VII klasy, roku szkolnego 1915/1916, rojne od ocen bardzo dobrych (nawet z matematyki!) i zdobione adnotacją: „chlubnie uzdolniona”.

Mielecka chluba wreszcie zrealizowała swe marzenie – dotarła do Krakowa, miasta tradycji i pamięci, gdzie, jak mówiła obrazowo, „nigdy nie przestało bić serce polskości”. Tam przeżyła niezapomniane dni pierwszego roku wolności – 1918.

Opowiada Matula.

– Pierwsza polska warta przy ratuszu. Floriańską studenci pędzą prosiaki w kaskach austriackich wbitych na łby. Kraków kipi wolnością!

Polacy ciskają o ziemię austriackie czapki wojskowe, wkładają maciejówki z orzełkami. Zrywają szyldy z dwugłowym orłem austriackim. Odzyskujemy miasto bez jednego strzału!

3 listopada – pamiętam jak wczoraj – była niedziela. Tysiące ludzi płynęły na Wawel. Wciśnięta w tłum myślałam o moim bracie... Że nie nadaremno, nie nadaremno został gdzieś pod brzozywym krzyżem...

Zagrzmiał dzwon. Tłum krzyknął, zapłakał. Ksiądz od ołtarza zawołał: – Doczekał się po stu kilkudziesięciu latach królewski Zygmunt, że może na wszystkie strony Polski potężnym swym głosem rozbrzmiewać wieścią przerasną! Oto wieko trumny męczennicy narodów rozwarłe, skrepowany łańcuchami niewoli Orzeł Biały roztaczać zaczyna pod polskim niebem, od Tatr po Bałtyk, swe władcze skrzydła!!!... –

O, jakże kochaliśmy te opowieści Matuli. Umiała przenieść nas w tamtą chwilę, widzę twarze słuchających jej harcerzy! Byliśmy z nią w Krakowie, biegliśmy na Wawel, słyszeli Zygmuntofski dzwon... Przeżywali pierwsze spotkanie Sławki (bo i tak ją zwano) i Staszka...

W kwietniu 1919 roku Henryk Rowid, który wpisze się złotymi zgłoskami w dzieje pedagogiki polskiej, powołuje w Krakowie Państwowe Kursy Nauczycielskie (Matula mówi o nich zawsze – Pedagogium Rowida!).

Rodem z biednej rodziny z Rzeszowa, absolwent tegoż Seminarium Nauczycielskiego, gdzie uczył się Staszek Bytnar, Henryk

Rowid – współtwórca Związku Nauczycielstwa Ludowego (1905 rok!), redaktor naczelny „Ruchu pedagogicznego”, wykładowca psychologii, pedagogiki, historii. Pedagog, który mówi: „Tylko człowiek wolny potrafi wychować ludzi wolnych [...], a tylko gruntownie i wszechstronnie wykształcony nauczyciel potrafi drugim prawdziwej udzielić oświaty...”. „Nauczyciel nie może być biernym wykonawcą programów” – wołał. Walczył o wykształcenie samodzielnych indywidualności pedagogicznych, „najważniejszą kwalifikacją nauczyciela jest głęboka znajomość psychiki dziecka” – stwierdzał, „twórczy patriotyzm” – miłość kraju czynna i konstruktywna. Wspominając doświadczenia najwybitniejszych swych wychowanków, w skrypcie pisany podczas okupacji hitlerowskiej, Rowid pisał o „darze pedagogicznym – umiejętności wyzwalań w duszach dzieci dyspozycji, zainteresowań i energii”.

Taki dar mieli jego uczniowie – rodzice Rudego. Na Kursie Rowida zaczęli oto pojawiać się legioniści-inwalidzi. Był wśród nich wysoki, czarnooki, smolistowłosa Staszek Bytnar. Połatany szynel legionisty, przybyłego na krakowskie kursy, zdobił Krzyż Niepodległości. On sam jeszcze się wspierał o kulę, ale – jak napisze w życiorysie – „brałem udział w rozbrajaniu Austriaków”.

– Był taki smutny i taki romantyczny – mówi Matula. – Zakochałam się w nim od pierwszej chwili i na zawsze.

Ona miała lat 17, on 22.

Jakąż piękną stanowili parę. Ona – w błękitnym kapelusiku podkreślającym błękit oczu, zwiewna, delikatna, złotowłosa, sama kruchość i subtelny wdzięk. On – w szarym legionowym szynelu, wysmukły i wybujały, kruczoczarny, o oczach „jak noc – akksamitnych i ciemnych”.

I tak pięknie śpiewał. Przyjaciół z tamtych lat, Stefan Rolewicz, też harcerz i legionista-inwalida, wspomina, jak to łączył swój tenor z Bytnarowskim bas-barytonem, wyśpiewując legionowe piosenki na plantach. A bieda była, aż piszczało, ale – pisze Rolewicz: „zna-

łaż się kolega dożywiciel, Stanisław Bytnar, który otrzymywał od swojej mamy, zacnej i wyrozumiałej kobiety z rzeszowskiego, duże bochny chleba i zatykał głodomorom paszcze”...

Katarzyna z Chmurów Bytnarowa, która przeżyła śmierć swego syna, znalazłszy już jego nazwisko na liście strat, nigdy nie przestała Bogu dziękować, że jedynaka ocalił... I jak przedtem – urabiała ręce, by mu w edukacji dopomóc.

– Byliśmy tacy młodzi i tacy szczęśliwi... – uśmiecha się Matula do krakowskich wspomnień...

Był bukiet nieśmiały bratków za ukradkiem pocerowany szynel, były wiosenne wycieczki aż po tyniecki klasztor i przeniesienie na rękach przez strumień, była uroczysta msza pomaturalna w Katedrze Wawelskiej i mocno splecione dłonie.

– Idźcie! Nieście Polskę! Jesteście pierwszym poczem polskich nauczycieli! – powiedział im Rowid, żegnając przy dyplomie. – Macie nieść, jak w „Testamencie” Słowackiego – prawdziwy „kaganiec oświaty”, być misjonarzami polskiej nauki, tradycji, historii.

– Przypiął nam skrzydła! – mówi o Rowidzie Matula i błękit jej oczu jaśnieje, zapala się do tamtej chwili sprzed 70 lat!

Msza maturalna na Wawelu. Staszek mocno ujmuje jej rękę. – Tak pójdziemy razem przez życie!

Razem dźwigają biedne szkółczyny na Kielecczyźnie, gdzie nie ma tablic, książek, zeszytów, razem brną w błocie, mając na nogach drewniaki, razem tworzą VII-klasową szkołę w Nieklaniu opodal Gór Świętokrzyskich. Ślub biorą 2 sierpnia roku 1920. Polska jest znów w pożodze wojny, tym razem z bolszewikami. Stanisław Bytnar zgłosił się oczywiście jako ochotnik, gdy tylko wybuchła, ale stopień inwalidztwa miał tak ogromny, że już nie było mowy o służbie frontowej...

„Cały mój przebieg służby nauczycielskiej jest też cichą, ofiarną pracą dla dobra Ojczyzny” – napisze w życiorysie.

Matula zebrała wspomnienia o nim, spisane przez uczniów Nieklania. Pozostał w ich pamięci i po sześćdziesięciu latach!



Henryk Rowid (1877–1944), mistrz młodości Rodziców Rudego, kreator polskiej koncepcji „szkoły twórczej”, wybitny pedagog, który odegrał olbrzymią rolę w ukształtowaniu pierwszej kadry nauczycieli Niepodległej Polski. Zamordowany przez Niemców w Oświęcimiu – jak jego uczeń Stanisław Bytnar



Ojciec – Stanisław Bytnar. Legionista I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego pseudonim „Mściwój”. Ciężko ranny w bitwie pod Krzywopłotami (listopad 1914). Potem znakomity pedagog, kierownik pierwszej szkoły pedagogiki specjalnej w Warszawie



„W Mielcu chłopców roje chciało toczyć boje o Twój uśmiech, słowo...” – Panna Zdzisława Rechlówna, adresatka westchnień wszystkich kolegów...
Przyszła Matka Rudego



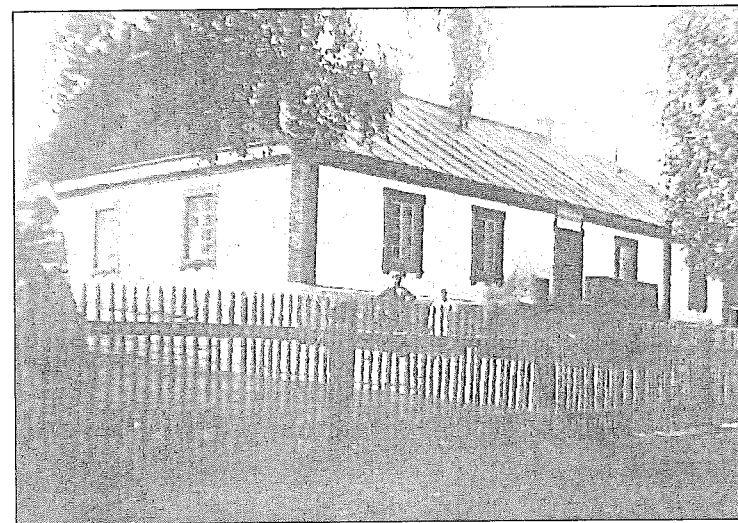
„Tak pójdziemy razem przez życie” – Zdzisława i Stanisław Bytnarowie po ślubie, który odbył się w sierpniu 1920 roku



„Pierwsze toki Bytnara”... powie o tym zdjęciu panna Zdzisława Rechulówna! Oto grupa studentów Kursów Pedagogicznych prof. Henryka Rowida w Krakowie wiosną 1919 roku



Czerwiec 1922. Zdzisława i Stanisław Bytnarowie z gronem nauczycielek i dzieci szkoły w Nieklaniu na Kielecczyźnie. Te dzieci zachowują wierną wdzięczność dla dwojga wspaniałych pedagogów, którzy z biednej wiejskiej szkółki stworzyli placówkę promieniującą blaskiem kultury i wiedzy



Nieklan na Kielecczyźnie. Tę szkołę prowadzili w latach 1921–1926 rodzice Rudego. Tu spędził najwcześniejsze lata dzieciństwa...

„Smutno było, biednie i głodno... I wtedy – w 1919 roku – pojawił się nowy kierownik szkoły, Stanisław Bytnar, w podniszczonej kurtce legionowej, bez dystynkcji...

Zacząła się nowa epoka w życiu naszej ubogiej wsi.

On umiał mówić o Polsce do ludzi prostych, sam przecież pochodził z takiej biednej wsi...” – Stanisław Połec, który dzięki Stanisławowi Bytnarowi ukończył studia polonistyczne.

„Miał dar niezwykły zjednywania ludzi. Cichy Niekłań stał się potężnym na owe czasy ośrodkiem kulturalnym... Założył chór i teatr amatorski, założył spółdzielnię »Bratnia pomoc«, Koło Młodzieży Wiejskiej »Wici«... Szkoła zaczęła żyć, promieniując dokoła...” – Antoni Telecki, wierny uczeń Bytnara.

„Przemierzał przysiółki, osiedla, wsie, by wszędzie odnaleźć dzieci do szkoły. Nigdy dotąd wieś nie miała tak ofiarnego przewodnika i opiekuna chłopskiej biedoty... Opiekował się zdolnymi uczniami. Woził mnie na egzaminy do seminarium i tylko dzięki Jego inicjatywie i poparciu – ja zostałam nauczycielką, a mój brat skończył prawo. Po latach spotkał się ze swym opiekunem – w obozie koncentracyjnym!” – Zofia Grabowska, lat 70, ponad pół wieku służby nauczycielskiej.

„Był gwiazdą przewodnią naszej pracy... Prowadził chór szkolny, teatr, urządzał wycieczki...

Przyjaciel młodych nauczycieli, radził nam, dbał o nas...” – Izabela Dabińska, nauczycielka spod znaku Bytnara.

„Wycieczki po Polsce! Jeździliśmy do Krakowa, Zakopanego, Poznania, nad morze – do budowanej dopiero Gdyni. Ileż energii i zabiegów to wymagało! Zdobyć fundusze, wieść w daleki świat gromadę niesfornych dzieci z zabitej deskami wsi... Otworzył nam okno na świat.

To on – będąc już w Warszawie – pomagał mi kontynuować naukę w gimnazjum, załatwił zwolnienie z opłat, mieszkanie w bursie. Miesiąc cały mieszkałem jako gość u państwa Bytnarów w Piastowie...

Jeszcze raz miał otoczyć mnie opieką – w Oświęcimiu” – Stanisław Połec.

„Pomagał wszystkim, którzy chcieli uczyć się dalej, pomagał w uzyskaniu pracy – słowem, nie przestał być z nami... Lata trudu i wytrwałości... Zastał dwuletnią nędzną szkółkę, a pozostawił 7-klasową na wysokim poziomie...” – List zbiorowy z 1982 roku.

Matula mówi: – I głodno było, i chłodno, ale szczęśliwie i młodzieńczo...

W roku 1925, po sześciu latach żmudnej pracy na wsi, Stanisław Bytnar otrzymuje szansę wielkiego awansu – studia w Warszawie. Wybiera Instytut Pedagogiki Specjalnej, stworzony w roku 1922 przez Marię Grzegorzewską, która uzyskawszy doktorat na Sorbonie, poświęciła się kształceniu nauczycieli zdolnych do pracy z dziećmi niepełnosprawnymi, okaleczonymi fizycznie i psychicznie. Jest Grzegorzewska prawdziwą matką tej dyscypliny w Polsce. Stanisław Bytnar – jednym z pierwszych jej wychowanków. Po ukończeniu Instytutu otrzymuje propozycję – chwalebna i szacowna – kierownictwa Szkoły Ćwiczeń przy Instytucie – jedynej i pierwszej tego typu placówce orędującej ludzimi niepełnosprawnymi. Prowadzi szkołę lat dziesięć, zdobywając sobie najwyższe uznanie – zarówno swych przełożonych (a jest wśród nich sam Janusz Korczak!), jak i podwładnych – młodych studentów, których kształci...

„Jego zadaniem było udzielanie wskazówek, zapoznawanie z grupą dzieci szkoły, przydzielanie tematów lekcji metodycznych, kierowanie procesem dydaktycznym. Wielka to była dla nas niewiadoma. Mała znajomość psychiki dziecka o ilorazie inteligencji poniżej normy stwarzała duże trudności odpowiedniego prowadzenia lekcji – co powodowało napięcia nerwowe prowadzącego lekcję w obecności całej grupy koleżeńskiej. Cały splot trudności rozwiązał na wstępie kierownik, Stanisław Bytnar.

Osobowość jego działała leczniczo na rozdygotane nerwy, uspokajał, doradzał, opracowywał razem projekt lekcji, dodawał otuchy i uzbrajał w pomoce naukowe, a nade wszystko obiecywał czuwać nad tokiem lekcji i ratować, gdyby zaistniała potrzeba.

Sama obecność kierownika na lekcji była dla nas dużym oparciem. Życzliwa postawa, sugestywny spokój, nastrojał twórczo. Był to nauczyciel z powołania, który ofiarował nie tylko serce, ale i swe znakomite zdolności dzieciom specjalnej troski” – pisze jedna z jego uczennic, Waleria Szarzyńska.

„Eksperymentuje i poszukuje nowych dróg, przyczynia się do tworzenia podstaw polskiej pedagogiki specjalnej. Jest prawdziwym prekursorem tego, co współcześnie zwiemy integracją – sprawia, że dziecko upośledzone znajduje własne miejsce w zbiorowości, rozwija się i zyskuje wiarę w swoje siły... W Szkole Ćwiczeń, którą kierował, słuchacze mieli doskonały wzór atmosfery współżycia i współpracy zespołu. Odnosił się do nas z braterską życzliwością i ujmującą przyjaźnią. Urzekająca prostota i skromność, połączona z ogromnym poczuciem odpowiedzialności, iście żołnierska obowiązkowość, a jednocześnie poczucie humoru, tolerancja poglądów, prawość – oto główne cechy osobowości Stanisława Bytnara.

Kochał życie. Młodzież i dzieci przepadały za Nim. Traktował je z korczańskim szacunkiem i sprawiedliwością. Garnęły się, czując, że je kocha i rozumie...” – Leokadia Frydrychowska, Sabina Adamska, Warszawa.

1 września 1936 roku Stanisław Bytnar otrzymuje nominację na kierownika szkoły specjalnej, która do dziś istnieje przy ulicy Różanej w Warszawie, nosząc numer 111. Miarą postaci i pamięci o pierwszym kierowniku jest fakt, iż gdy w roku 1981 szkoła gotowała się do 45-lecia swego istnienia, byli studenci Stanisława Bytnara i współpracownicy, wsparci przez Komisję Historyczną Związku Nauczycielstwa Polskiego, wystąpili z inicjatywą, by otrzymała jego imię. Matula z pietyzmem sobie właściwym opracowała i ofiarowała ogromny tom dokumentacji.

Niestety – inicjatywa się nie powiodła, bo, jak poinformował mnie pan dyrektor, już w latach wolnej Polski – a więc roku 1989 (i to wtedy, gdy ministrem edukacji narodowej został prof. Henryk Samsonowicz, brat sławnego „Księcia”, bohatera Batalionu



Kierownik szkoły specjalnej nr 111 przy ul. Karowej 2 w Warszawie, Stanisław Bytnar z gronem pedagogów i uczniów, koniec roku szkolnego, czerwiec 1937. Może wreszcie uda się nam wywalczyć by stał się patronem szkoły nr 111 w Warszawie przy ul. Różanej, której był ofiarnym kierownikiem. Co na to szanowne pedagogium szkoły? Apelujemy do pani minister Krystyny Łybackiej o pomoc!



Wrzesień 1921 rok. W cztery miesiące po urodzeniu syna Zdzisława Bytnarowa zaczęła znów żmudną pracę „Siłaczki”...



W tym małym domku w Kolbuszowej urodził się 6 maja 1921 roku Janek Bytnar – Rudy

„Zośka” kompanii „Rudy”!) – „czasy nie były sprzyjające”... I – jak się okazuje – takie trwają do dziś...

Była to jedyna inicjatywa, spośród tych, jakie marzyły się Matuli, której nie udało się nam zrealizować.

A jej droga szła w tropy męża.

W latach 1927–28 ukończyła studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej, a już w roku 1930, mając lat ledwo 29, wygrała konkurs na kierownictwo Szkoły Specjalnej nr 6 przy ulicy Ząbkowskiej, którą kierowała do roku 1940!, aż wyrzucili ją Niemcy.

O swym mężu, pomna przesłania, jakim żegnał ich Rowid, powiedziała – „Niósł nie kaganek oświaty, ale żagiew płonąca!”.

Sielskie-anielskie

„6 maja 1921 roku, w samo południe, kiedy sygnaturka kościelna oddzwoniła na Anioł Pański, urodziłam syna w domu moich rodziców, przy ulicy Nowe Miasto nr 10 w Kolbuszowej.

Przyszedł na świat cichutki, słabiutki tak, że położna musiała go klappsem do życia pobudzić... – opisuje Matula narodziny jedy-naka. – Przyjechał ojciec z Niekłania. Uroczysty to był dzień, bo syn przyszedł jako wspaniały prezent imieninowy”.

Zastanawiali się – czy ma być Otton, czy Robert. Rozterki uciał ojciec: – Będzie miał imię, które sobie przyniósł dniem narodzin, imię z naszej legionowej piosenki „Rozkwitały pąki białych róż...” – Jaś.

I tak zawsze mówiła o nim Matula: Jaś, Jasieniek, Janeczek.

Dzieciństwo w Niekłaniu. Jaś – chudzina, niejadek, chorowity, wieczna troska rodziców i babci. Bo Katarzyna Bytnarowa jest wreszcie razem z synem, kochana, szanowana i pomocna – jak zawsze.

Jaś ma trzy latka, gdy 5 stycznia 1924 roku rodzi mu się siostrzyczka – Danuta, spieszczona na Dusię.

On ma włosy jasne, nieomal białe (nie rude!) i jest żywym sobowtórem matki. Dusia – czarnooka, ciemnowłosa – wdała się w ojca. Nawet ma znamię dokładnie w kształcie blizny ojca.

Jest pulchna, zdrowa, rumiana. Wcina wszystko z apetytem, wpędzając w kompleksy braciszka-chuderlaka, który rozpacza nad łyżką tranu...

Oboje kochają bajki, śpiew ojca i odkrywanie świata. Dla Jasia czasem kończy się to niebezpiecznym upadkiem z rozhuśtanej gałęzi, czy niemiłymi konsekwencjami po przełknięciu chrabąszcza, który miał być słodki...

Czytać i liczyć umie już w wieku lat pięciu... Uwielbia też rysować – mamę w kapelusiku z piórkiem i tatę z teczką... Pisać nauczył się z tęsknoty – żeby móc sam donieść tatusiowi, jak bardzo go brak, gdy przeżywał ten jedyny rok rozstania.

Od jesieni 1926 roku są już wszyscy razem, w Piastowie pod Warszawą...

Siostra Rudego, Duśka, wspomina serdecznie tę podwarszawską osadę. Gęstwinę ogrodu, udającego z powodzeniem dżunglę, beztróskie wycieczki zielonymi łąkami nad rzekę Utratę i w stronę stawu w Pęcicach. I myśmy tam chodzili na wagary, uciekając od zaduchu gumy, wiszącego nad całą osadą. Tylko obok stawów w parku był już wtedy grób zbiorowy harcerzy z Batalionu „Zośka”, poległych w powstaniu.

Zaczytując się w „Kamieniach na szaniec” i usiłując godnie w ponurych latach stalinowskich naśladować ich bohaterów (o czym opowiadam dokładnie w II tomie „Wiernej rzeki harcerstwa” – „Kamyk na szańcu”) – nie mieliśmy oczywiście pojęcia, że w małym domku przy ulicy, która się wówczas zwała poetycznie Błękitna (dziś Axentowicza 2), tuż przy torach kolejki mieszkał Janek Bytnar-Rudy. I że – przedziwnym okoliczności zbiegiem, w tymże Piastowie na granicy z Pruszkowem – rzucał jednym tchem na karty opowieści o braterstwie i służbie – „Kamienie na szaniec” – druh Aleksander Kamiński.

Dom Bytnarów pulsował życiem. Zgodnie z daną ojcu ongiś obietnicą Dzinia-Sławka przyjęła pod swój dach rodzęństwo, umożliwiając im studia. Młody wujek Czesław – kształcący się w szkole mechanicznej, fascynował siostrzana młotkami, piłami,

obcęgami, kowadłami, pod jego okiem Jaś stawiał pierwsze kroki konstruktora... Pasjonowała go przyroda, otaczał się atlasami i zadawał nawet rodzicom podchwytliwe pytania – czy wiedzą, po co kot ma ogon?

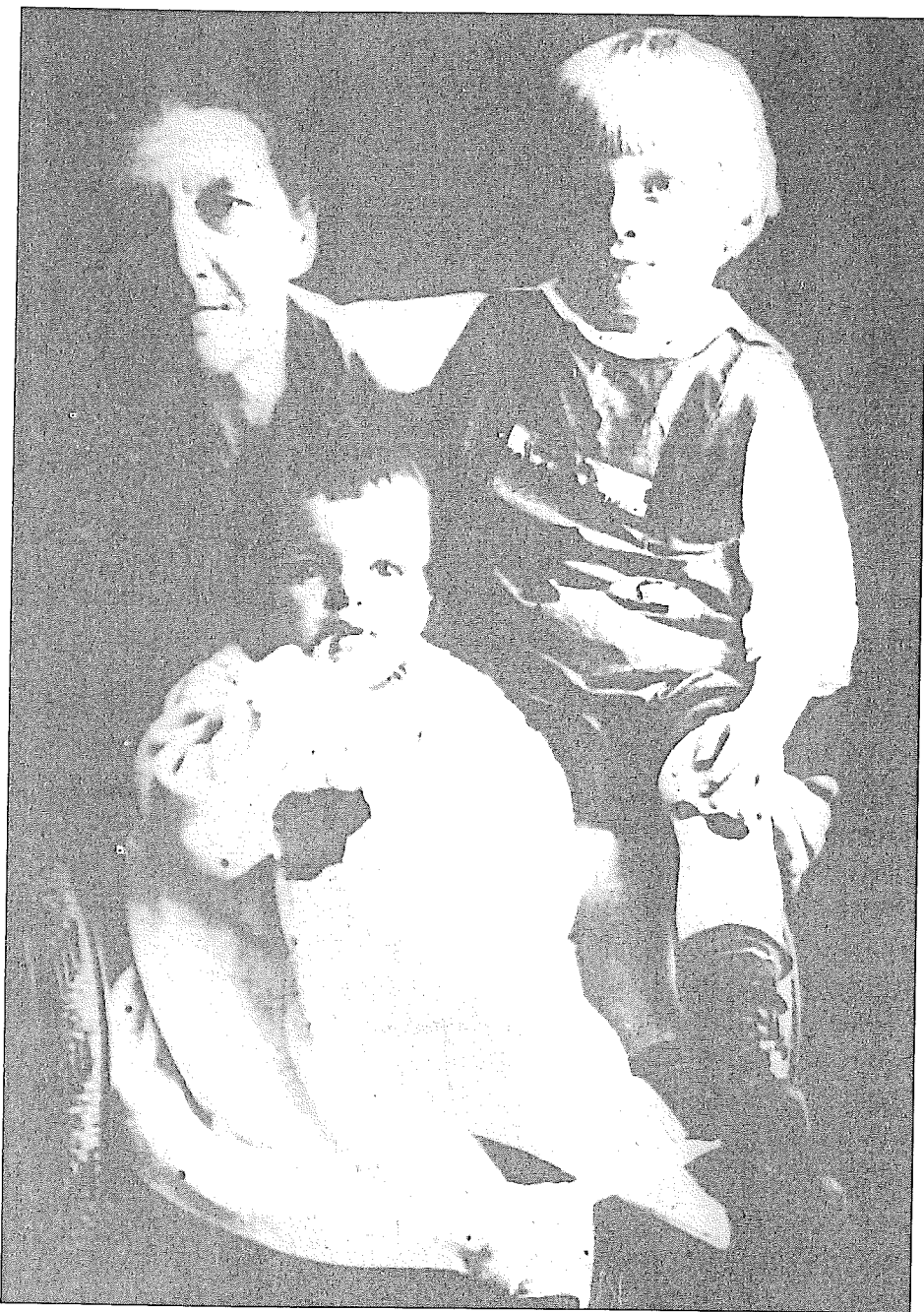
Razem z Dusią hodowali pieczołowicie swój zwierzyniec – kotkę Mamrotkę, psa Smyka i kanarka Maciusia.

– Ład, spokój, czułość, harmonia naszej wieloosobowej rodziny tworzyły atmosferę tych najwcześniejszych lat Janka – **wspomina Matula**. – Bardzo cieszył się, że już pójdzie do szkoły i przeżywał ten wielki dzień! Wyrównałam mu grzywkę jasno-blond włosów, obciąłam na pazia, włożyłam aksamitne, granatowe ubranko, przypięłam kołnierzyk biały i zawiązałam szkocką kokardę – i tak powędrował po raz pierwszy do szkoły zwanej „kolejową”. Miał 7 lat, okazało się, że umie za wiele i nauczyciele zadecydowali przeniesienie go do klasy drugiej... Tam trafił na pedagoga-krzykacza, wracał do domu roztrzęsiony, byliśmy wzywani i karceni za syna, który wiecznie zadaje jakieś pytania...

Szukaliśmy więc szkoły twórczej, o jakiej marzył mistrz naszej młodości – Henryk Rowid. Znaleźliśmy! Mieściła się w Warszawie przy ulicy Zagórnej 9, na Powiślu, miała przepiękny ogród botaniczny, pracownie i znakomitych, mądrych nauczycieli... Od 1 września 1930 roku dziewięcioletni Jaś stał się uczniem tej szkoły, dzielnie dojeżdżając z Piastowa. Zdobywał ostrogi przyrodnika, miał swój zielnik, zaczął studiować encyklopedie, atlasy, robić doświadczenia.

W tym czasie szczęśliwie opuściliśmy Piastów – i przenieśli się do Warszawy, na Mokotów, do mieszkania, w którym mieliśmy przeżyć wiele dobrych radosnych lat, zanim nadeszły najtragiczniejsze...

Dzieci opromieniały życie ojca, w domu panowała serdeczność, ciepło rodzinne, wielkie szczęście, którego dawcą i sprawcą był ojciec. On, po Krzywopłotach prawie zmartwychwstały do życia, każde moje zmartwienie umiał prędko zmieniać w pogodę słowami: – Cieszymy się życiem, zdrowiem, każdym dobrze przeżytym dniem – słońcem!



Wspaniała Babcia – Katarzyna Chmura-Bytnarowa, matka Stanisława.
Chłopka z Rzeszowszczyzny, wzór hartu. Z wnukami – Jasiem i Danutą-Dusią



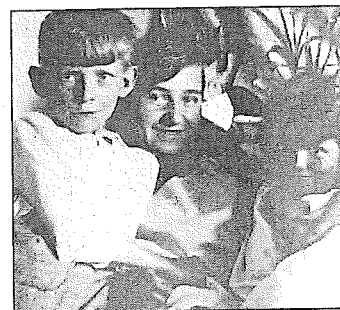
„Czy znasz ten kraj? Kraj baśni, dzieciennych snów... Nie pamiętacie – spytajcie Matki. Ona wam wspomni i mówić będzie ze łzą miłości i szczęścia...” – tak pisali chłopcy w harcerskim piśmie „Pomarańczarni” – „Gniazdo”. Matka Rudego jako młodziutka nauczycielka.



Dwoje rodzeństwa. Dusia – sobowtór Ojca, Jaś – sobowtór Matki. Data dokładna – 5 lipca 1929 r.

Brat i Siostra. Rudy i Dusia. „Miał jasną cerę, błękitne oczy, włosy aż białe”. „Była śniada, czarnooka, krzepka”. Tak ich widzi w swej pamięci Matula

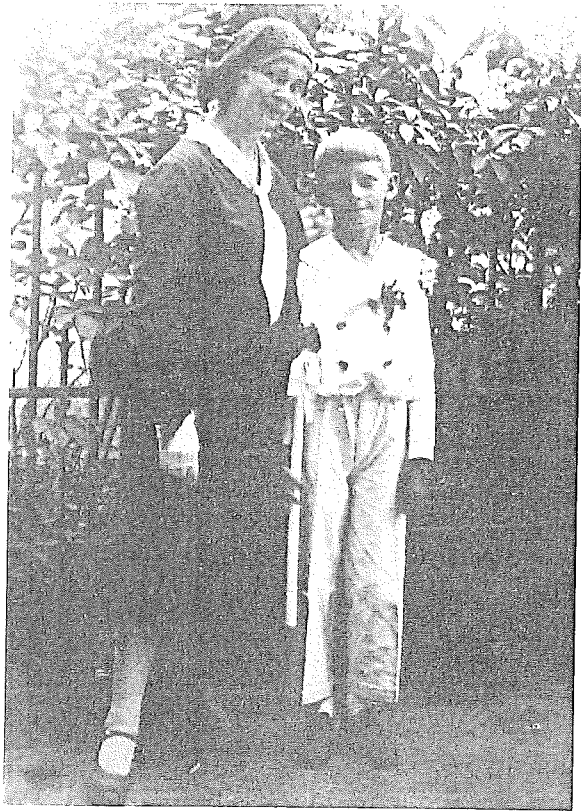
Przed domem przy ul. Błękitnej. Rok 1926 w Piastowie. Rudy z rodzicami i ciotką Janką. W tym Piastowie druh Kamiński będzie pisał „Kamienie na szaniec”. W tym Piastowie grupa młodzieży z naszej szkoły, dzieci żołnierzy Armii Krajowej, założyła w latach Stalinowskich organizację małego sabotażu na wzór Rudego, Alka, Zośki



Jaś i Dusia słuchają bajek ciotki Janki...



Piastów pod Warszawą, rok 1928. Dwie serdecznie zaprzyjaźnione rodziny – Bytnarów i Rolewiczów. Na pierwszym planie dwóch Jasiów – Rolewicz i Bytnar. Urodzili się jednego dnia, miesiąca i roku – 6 maja 1921. Jan Rolewicz ps. „Rafał”, będzie żołnierzem kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka”, przeżyje Pawiak i obóz koncentracyjny. Z jego inspiracji powstanie w Krakowie znakomity szczepek harcerski imienia Janka Bytnara – „Dąbie”



Pierwsza komunia święta Jasia Bytnara. Zdjęcie z Matką. Czerwiec 1931



Jaś i Dusia podczas wyprawy z ojcem na warszawski Żoliborz, gdzie miały stać domy Spółdzielni nauczycielskiej.

Rok 1931. Jaś ma lat 10 i mierzy się wzrostem z ostami

Dzieci nie miały rozczarowań, zawodów, ojciec umiał sprostać ich marzeniom, niemal jak starszy kolega... Szedł za dziećmi, przejmował się ich zainteresowaniami, sprzyjał, wspomagał... Z synem konstruował latawce, samolociki, córki zwierzeń wysłuchiwał uważnie...

W pogodne niedziele wyruszaliśmy rowerami na wyprawy, odkrywając uroczyska, podziwiając zabytki, idąc tropami historii i powstań... Olszynka Grochowska, krzyż Traugutta pod Cyta-
delą... Ojciec ożywiał w wyobraźni dzieci dni Powstania Listopa-
dowego, postaci członków Rządu Narodowego z Powstania
Styczniowego. Opowiadał o Legionach, w pokoju Jasia wisiał do
końca portret Piłsudskiego.

Wakacje często spędzaliśmy razem, ojciec zagarniał pod swe
skrzydła jeszcze i cudze dzieci, wymyślał konkursy, zabawy, go-
nitwy, śpiewanki... Zimą jeździliśmy na nartach w Zakopanem,
dzieci uwielbiały nasze wyprawy na ślizgawkę do Doliny Szwaj-
carskiej... To był świat jak z baśni. Kolorowe światła, cudowna
muzyka, płynęliśmy parami w jej takt. Jaś ze mną, ojciec z Du-
sią.

Wspaniale tańczył – mazura z figurami, obertasa, Dusia wiro-
wała z nim szczęśliwa, Jaś obserwował z dystansem...

Różnili się charakterami, tak jak wyglądem i kolorytem, choć
kochali się bardzo. Dusia bałaganiła, Jaś był wzorowym pedan-
tem – szuflada w biurku podzielona była cieniutkimi listewkami
na sektory, w których stalówki, gumy, ołówki itp. każde miało
stałe swe miejsce. Rower, łyżwy, narty zawsze wyczyszczone
i odpowiednio smarem zabezpieczone. Mundurek bez plam, spo-
denki zaprasowane pod kant, mundur harcerek wzorowo zadba-
ny... Uczył się rewelacyjnie. Po każdej wywiadówce na Zagórnej
– rosłam i pękałam z dumy... A Stach, przeglądając cenzurki Dusi
z Gimnazjum Królowej Jadwigi, gdzie tu i ówdzie pyszniły się
trójczyny (przeważnie z łaciny), przytulał ją, całował ciemne
oczy, bliźniaczo do swoich podobne i mawiał z ulgą: – Jak dobrze,
że mam chociaż jedno zwyczajne, normalne dziecko!

Dom przy alei Niepodległości był pełen światła, pogody, uczucia. Matula ofiarowała mi zdjęcie: Jastarnia, kielichy sieci, słońce. Duśka i ojciec opaleni na brąz, nawet białosc matki i Janka przyzłocona. Szczęśliwe lato!

– Ojciec miał wymarzone dzieci, a one miały wymarzonego ojca.

O domu Bytnarów opowiadał mi harcmistrz Władysław Słodkowski, pseudonim „Kurant”, przyjaciel Rudego, po wojnie wybitny pedagog, historyk literatury, autor znakomitej monografii poświęconej „Syzyfowym pracom” Żeromskiego.

– To był dom w słońcu. Ciepłe, pogodzie, miłości. Dom otwarty dla nas wszystkich – zawsze. Tworzył go ojciec – wspałały, energiczny, promieniujący radością życia, mądry. Tworzyła matka – drobna, delikatna, wrażliwa, czuła, tworzył płowowłosy Janek-Rudy i jego młodsza siostra, czarnowłosa Duśka, w której (ku zdumieniu Jaśka) wszyscy byliśmy zakochani.

Jasiek był niby żywe srebro. Spontaniczny, pełen werwy i pomysłów, piekielnie dowcipny, z wielką fantazją, a przy tym uparty, dociekliwy, dokładny, pracowity i nieprawdopodobnie zdyscyplinowany, i bardzo, bardzo odpowiedzialny!

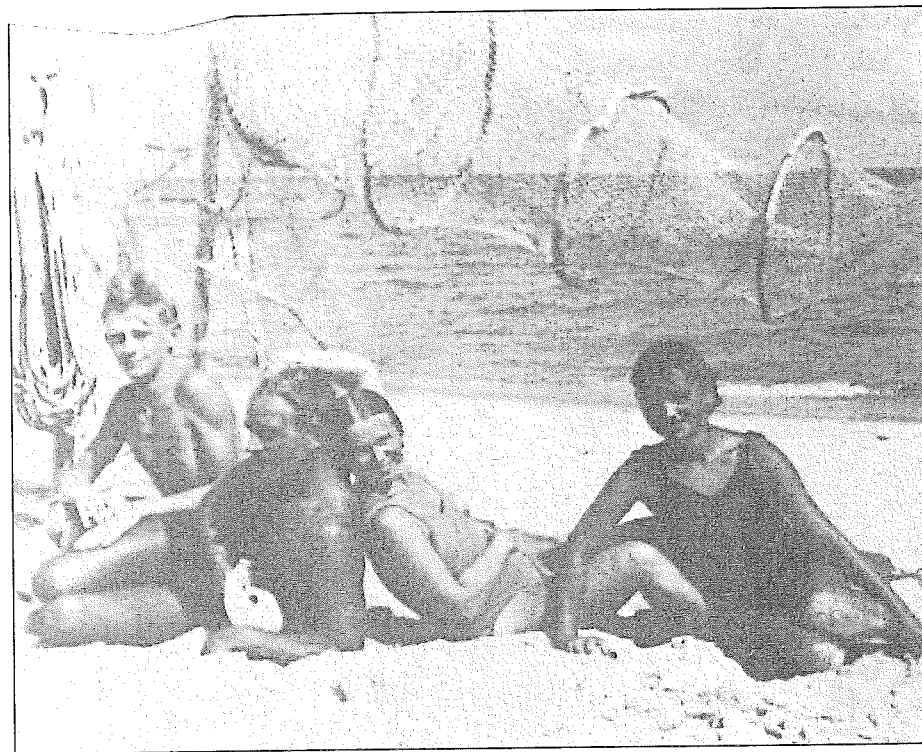
W roku 1978 prasa warszawska przypomniała szkołę na Zagórnej.

Jerzy Kasprzycki odcinek swych sławnych „Warszawskich pożegnań”, drukowanych na łamach „Życia Warszawy”, zatytułował „Szkoła Rudego”!, a „Kurier Polski” artykułowi honorującemu 60-tą rocznicę istnienia tej placówki dał tytuł „Tu uczył się Rudy”.

W 1931 roku Jaś ukończył celująco IV klasę szkoły na Zagórnej. Najlepsi uczniowie mieli szansę ubiegać się o przyjęcie do sławnego już gimnazjum imienia Stefana Batorego, noszącego słusznie numer 1.

Egzamin trwał dni pięć. Jaś zdał olśniewająco.

Na ławie szkolnej miał spotkać przyjaciół swego życia, z którymi razem przejdzie do legendy.



Ostatnie promienne, rodzinne lato... Jastarnia, sierpień 1939. Rudy, Rodzice, Duśka...



Rudy podczas jednej z górskich wypraw z ojcem-przyjacielem Stanisławem Bytnarem, harcerzem, bohaterem I Brygady Legionów, jednym z pierwszych pedagogów polskich opiekujących się dziećmi niepełnosprawnymi



Ostatnia wyprawa w Tatry... Wielkanoc roku 1939 w Zakopanem. Janek z ojcem na nartach. Hala Gąsienicowa

Rodzice Zośki

„Nigdzie nie czuł się tak dobrze jak w domu, z nikim nie przyjaźnił się tak serdecznie jak z matką.

Matka nasza była zawsze dostępna wtedy, kiedy jej potrzebowaliśmy. Zawsze była gotowa wysłuchać wszystkiego, o czym ktoś z nas chciał jej powiedzieć, a przy tym była niezwykle dyskretna. A że była człowiekiem wrażliwym i przy tym głęboko mądrym, wcześniej zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z tego, jak wielką wartość ma wszystko, co nam w intymnych rozmowach mówiła. Tadeusz był z nią w szczególnej przyjaźni, a gdy teraz patrzę na to z perspektywy wielu lat, widzę, jak ta przyjaźń między matką i synem rosła w miarę jego dorastania – do Matki.

Ojciec, wobec wagi i wielkości swoich prac naukowych, na co dzień dostępny nie był i nie mógł w tamtych latach stać się w takim stopniu naszym powiernikiem, w jakim była Matka. Sam zresztą mówił o sobie, że nie ma do tego takich zdolności jak ona. Ale równocześnie określił się w swoich notatkach o Tadeuszu jako »kompan« swoich dzieci...”. Tak wspomina swych Rodziców siostra Tadeusza Zawadzkiego – Zośki, Anna.

„Rodzina profesorostwa Zawadzkich działała na wszystkich jak magnes – czytamy w książce znakomitej uczonej Alicji Dorabialskiej »Jeszcze jedno życie«. – Była to rodzina ludzi złączonych nie tylko więzami krwi, ale i głęboką, człowieczą przyjaźnią.”

Ojciec – organizator nauki polskiej i „kompan” swoich dzieci

Politechnika Warszawska jest chyba jedyną uczelnią na świecie, gdzie sąsiadują ze sobą tablice poświęcone pamięci i Ojca, i Syna.

W hallu przed wejściem do audytorium im. Józefa Zawadzkiego czytamy wyryte w marmurze: „Profesor Józef Zawadzki –



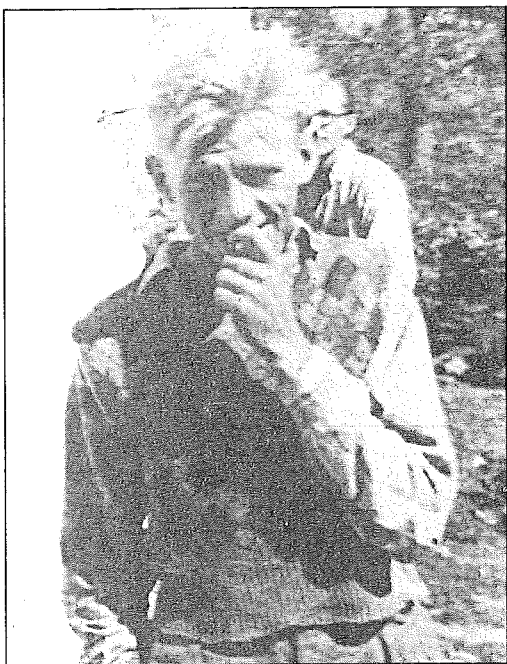
Rudy (pierwszy z prawej) wspornie jeździł na nartach



Harcerki z krakowskiego Szczepu „Dąbie” ZHR kontynuują dziś narciarskie wyczyny patrona...



W drodze do Kolbuszowej latem 1940 Rudy odwiedza na wsi pod Opatowem przyjaciela z harcerstwa i szkoły, Kazika Sułowskiego, który szczęśliwie ocalał te zdjęcia...



My, Pierwsza Gromada!

„Pisz, jak chcesz, byleby w utworach twoich była prawda” – ten cytat z „Dzienników” mojego umiłowanego Żeromskiego, przywołany w monografii Władysława Słodkowskiego poświęconej „Syzyfowym pracom” – stał się mottem naszej przyjaźni.

W marcu roku 1978, w 45-tą rocznicę Akcji pod Arsenalem, był Słodkowski naszym gościem w audycji radiowej „Cztery pory roku”, a potem otworzył przede mną cały skarbiec swych pamiątek. Ileż godzin przegadaliśmy u niego na Ochocie... Okazało się, że łączy nas – poza uwielbieniem dla Żeromskiego – admiraacja dla Chełmońskiego, którego Kurant (to jego najczęściej używany pseudonim) był kuzynem przez matkę – Helenę z Chełmońskich, a także – zainteresowanie – jak młodzież czytała na przestrzeni dziejów – Słowackiego, Mickiewicza, Żeromskiego, Sienkiewicza, któremu to zagadnieniu Kurant poświęcił szereg ciekawych studiów...

O sobie nie lubił mówić. To naczelną wadą tych, którzy przeżyli, ciągle słyszę – Pisz o tych, którzy zginęli! Trzeba było wyciągać zwierzenia na siłę...

Gdy go poznałam – wykładał w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach i był kierownikiem Zakładu Informacji Naukowej na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego...

Opowiada Władysław Słodkowski, pseudonim Kurant:

– 16 października 1939 roku szedłem ulicami Warszawy wśród zgliszcz, ruin i grobów, myśląc z przerażeniem o gronie przyjaciół... Co z nimi?

Dzień był słoneczny i ciepły, jak wszystkie tej straszliwej jesieni... Myślałem, że taki był właśnie tamten letni trzy lata temu w Wesołej, kiedy szaleliśmy na korcie u Trzcina. Tak nazywaliśmy całą rodzinę Trzcinińskich – czyli Jerzego Tytusa, mojego młodszego kolegę z gimnazjum Władysława IV, i jego trzy siostry. Przyjechali wtedy kuzyni Trzcina – Jurek Masiukiewicz ze swoją siostrą młodszą, Irką. Przywieźli chudego piegusa. To był Rudy.

kolegom. Zapas nie powtarzających się figli i kawałów, które wy-
czyniał, miał niewyczerpany. Objawiała się w tym cechująca go
bystrość umysłu, niezwykła pomysłowość we wszystkim, tak jak
w majsterkowaniu i technice, które zużytkował, jak wiadomo,
w trudnych niebezpiecznych akcjach „Małego Sabotażu”. Zawsze
tkwił w nim jakiś „dabełek”... Był przy tym wrażliwy i ogromnie
muzykalny... Uwielbiał tango „Jalousie”, które gwizdał i nucił
czysto jak ptak...

Powiedziała mi Hala Glińska:

– Janek przepięknie tańczył... On i Zygmunt Rymaszewicz,
który zawsze otwierał bale u Batorego robił to z właściwą sobie
powagą (za którą nie przepadalśmy za nim!), a Janek zrobiłby to
prześlicznie i z oszałamiającym wdziękiem...

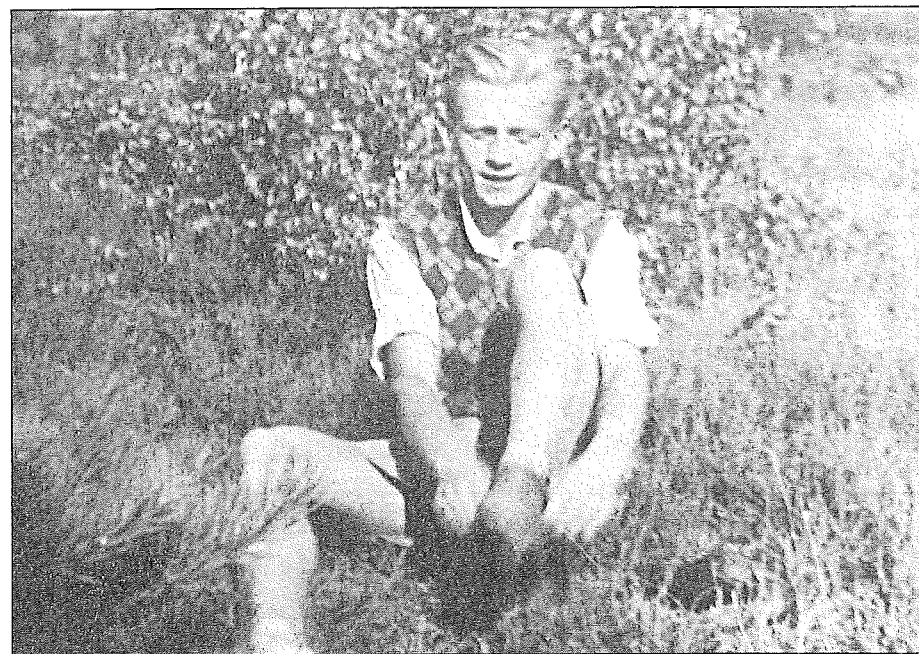
Żartowaliśmy, że zmieniamy historię łącząc królową Jadwigę
(patronka naszej szkoły!) ze Stefanem Batorem i co na to Jagiełło
i Anna Jagiellonka, prawowici małżonkowie...

To była taka wielka przyjaźń Błękitnej Czternastki z Pomarań-
czarnią za tych dobrych, przedwrześniowych czasów... Z Jasiem
śpiewałam razem w szkolnym chórze, tańczyłam wszystkie mod-
ne tańce – foxtrotta, slowfoxa, lambeth-walka i oczywiście tango
„Jalousie” – jego ulubione. Tadeusz tańczyć nie umiał i nie lubił...
Oni byli tacy różni. Janek żywiołowy, otwarty, Tadeusz stonowa-
ny i skryty... Z Jasiem nawiązywało się natychmiast, za-
łatwo i spontanicznie. Tadeusza przyjaźń zdobywało się trudno...
Reagowali zupełnie odmiennie. Rudy nauczył mnie pływać i nur-
kować. Kiedyś zaczęłam się topić... Kiedy wypłynęłam na brzeg –
i obwieściłam, że wracam cudem do żywota – Tadeusz zbladł i za-
cisnął ręce – a Rudy eksplodował – jak śmiałam tonąć i nie wołać
go na pomoc! Wszyscy trzej – z Alkiem – pływali fenomenalnie...
Kiedyś urządzili zawody i przepłynęli Wisłę w obie stro-
ny... Stałyśmy na brzegu z Hanką i Duśką i zamierały z trwogi,
kiedy nurt zaczął ich znosić! Ale przepłynęli zwycięsko.

Po powstaniu myślałam często o tej chwili i że byli chłopcy
z Batalionu „Zośka”, którzy tak płynęli pod ostrzałem i nie
przepłynęli...



Hala Glińska, sympatia Zośki, harcerka Błękitnej Czternastki, tańczyła i śpiewała z Rudym...



Rudy wyprawił się rowerem w pierwszym roku okupacji aż do Kolbuszowej... Chwilę
odpoczynku utrwalił Kazik Sułowski

Podczas okupacji skończyły się nasze rozrywki... Ostatni raz zatańczyłam z Jankiem „Jalousie” w moim mieszkaniu na Bagateli – chyba na moje pierwsze wojenne imieniny, czyli to musiał być maj 1940 roku... I dałam mu słowo, że pierwsze po wojnie tango zatańczę z nim... Nigdy już nie zatańczyłam żadnego...

Miałam taką pamiątkę drogą po Janku. Na jakiejś wędrownicy, kiedy wyrwaliśmy się z Warszawy, żeby chociaż na chwilę odechnąć od grozy jej okupacyjnych ulic, w lesie przysiedliśmy pod jakąś sosną – i gadali, gadali – jak zawsze pełni planów na przyszłość... A Jaś coś tam dłużał z kory... Okazało się, że w mgnieniu oka wyrzeźbił prześliczną małą łódeczkę, którą mi dał jak talizman, żebym przepłynęła przez wszystkie niebezpieczeństwa...

On sam – jak się dowiedziałam potem od jego matki – miał taką łódeczkę, z którą się nie rozstawał...

Ja swoją miałam do Powstania. Ale już nie mam.

Po Rudym nie zostały się prawie żadne pamiątki. Matuli udało się odzyskać dwa listy, które napisał w pierwszych latach okupacji do swej ulubionej ciotecznej siostry Zdzisławy Niezgodzianki, mieszkającej w Kolbuszowej.

18 listopada 1940 roku, przeprosza za opieszałość epistolarną, ale: „W przeciwieństwie pewnie do Ciebie mam tutaj strasznie dużo do roboty. Bo nie tylko się uczę, ale także zajmuję się pracami pozaszkolnymi”. (Te „prace” – to już było działanie w konspiracji, a szkoła – to były zajęcia w Szkole Budowy Maszyn Wawelberga, o czym dalej.) „Niedługo już chyba nie będę miał zupełnie czasu, bo zbliżają się egzaminy – pisze Rudy – i o ile przedtem troszkę czasami leniuchowałem, choć odczuwam, jaką wyjątkową okazją jest ten Wawelberg, to teraz będę musiał tym bardziej popracować”. (W to „leniuchowanie” demona pracowitości trudno uwierzyć!)

Zaleca Zdzisi, żeby nie zarzucała sportów i koniecznie uprawiała łyżwiarstwo. Dziękuje wujkowi Czesławowi (temu same-

mu, który oczarował go umiejętnościami majsterkowicza jeszcze w Piastowie) za jakiś „upragniony suwak” i ubolewa, że „jeszcze nam nie pokazywali, jak się kreśli koło zębate”.

Kończy pozdrowieniami „dla całej Rodzinki Kolbuszowskiej” i życzy „szczęśliwego przetrwania nadchodzącej zimy”.

Do listu Rudego dopisał się żartobliwie ojciec „jako adorator nr. I”, któremu „zbyt długa rozłąka rani serce”.

We wspomnieniach – Matuli i harcmistrza Jana Rolewicza, przyjaciela Rudego i rówieśnika (urodzonego tegoż co on dnia i roku – 6 maja 1921), syna przyjaciela Stanisława Bytnara z okresu studiów u Rowida w Krakowie – przewija się informacja, że zimą 1940 roku Rudy był w Kolbuszowej i tam spotkał się z legendarnym potem „Jędrusiem”, harcerzem-nauczycielem z Tarnobrzega, druhem Władysławem Jasińskim, organizującym pierwszą partyzantkę na terenach Sandomierszczyzny. (Stąd potem w okupowanej Polsce często partyzantów zwano po prostu „Jędrusiami”...)

Grupa „Jędrusia” wydawała już w 1940 roku gazetkę „Odwet”. Kiedy przeglądałam ją w Archiwum Historii Partii KC PZPR (tak! tam się zachowała!) – myślałam, że to Matula Bytnarowa, po wizycie Janka, wozila papier na „Odwet” – z narażeniem życia...

Drugi zachowany list Rudego jest z 27 listopada 1941 pisany na imieniny adresatki i zawierający znamienne życzenia: „Kochana Zdzichurko! Nawet ja zabrałem się na taką uroczystość do pisanania. Chciałbym Ci posłać trochę uśmiechu i pociechy na tym niewdzięcznym papierze, więc daję Ci radę, choć sam jestem ponury i smutny, bo jest mróz i szkołę chyba nam zamkną.

Pomyśl sobie tylko, co to będzie za rok! Albo inaczej: pomyśl, co to będzie, gdy się wojna skończy! Tylko nie wzdychaj przy tym, a uśmiechnij się.

Tymczasem wejdź jak żółw w skorupę, opancerz się, nie myśl o dzisiaj, a myśl tylko o jutrze; zobaczysz, jak czas wojny szybko zleci.

Jestem pewien, że już niedługo będziesz go miała za sobą jak jakiś straszny zły sen.

Jaś”